

Od Łupi do Parany i Amazonki. Część I.



Biblioteca Nacional, Caracas

Ameryka Łacińska, Hiszpania i Portugalia oczami polskiego iberysty

Dziennik z podróży ukazuje się w drugi czwartek miesiąca

Zygmunt Wojski

Jak to się stało, że właśnie Wenezuela? Kuba, Hiszpania, nawet Francja były niejako częściowo uwarunkowane zewnętrzną sytuacją, z góry, w pewnym sensie, „narzucone”, zaprogramowane przez zainteresowania zawodowe. Wenezuela zaś to w pełni mój osobisty, suwerenny wybór dokonany samodzielnie po lekturze *Doñii Barbary* Rómulo Gallegosa, a także dzięki fascynacji ludową muzyką na harfę – cudowny instrument! Rómulo Gallegos niezwykle sugestywnie maluje w swojej powieści życie mieszkańców Llanos, tych bezkresnych równin zajmujących jedną trzecią część Wenezueli, stwarza jakąś tajemniczą, cudowną atmosferę opisując przebogatą florę i faunę tego obszaru wielkości Polski, a ponadto nie tylko w dialogach, ale i w narracji używa bardzo malowniczego tamtejszego języka, który stał się punktem wyjścia moich badań leksykalnych. Głębokie tony harfy także tkają kanwę jakiegoś muzycznego misterium. Tak przynajmniej to odbierałem. Może to była konieczność stworzenia sobie baśni na prywatny użytek, baśni w odległym, nieznanym, tajemniczym świecie?

I tak stworzyłem dla siebie własny, baśniowy obraz tego kraju i starałem się maksymalnie pogłębić wiadomości na jego temat czytając książki wypożyczane z biblioteki Ambasady Wenezueli w

Warszawie. Ambasadorem był wówczas poeta Vicente Gerbasi (1913-1992), a sekretarzem Roy Chaderton (ur. w 1942 roku), z którym często utrzymywałem kontakty. Zabiegałem o to, by jak najczęściej przebywać w towarzystwie Wenezuelczyków z nadzieją, że w ten sposób dowiem się czegoś ciekawego o ich kraju. Kiedyś poznałem wenezuelską pianistkę polskiego pochodzenia Evę Marię Zuk, która wyszła za mąż za Meksykanina i od ślubu mieszka z nim w Meksyku. Zagadnąłem ją, który z tych trzech krajów uważa za swoją ojczyznę. Odparła: „Gdybym miała oddać życie za jakiś kraj, byłaby to z pewnością Wenezuela”. No proszę, pomyślałem sobie. Jeśli tak mówi młoda atrakcyjna dama, to w istocie ten kraj musi być nadzwyczajny. Zupełnie nie brałem pod uwagę faktu, że Eva Maria Zuk urodziła się, spędziła dzieciństwo i wczesną młodość właśnie w Wenezueli i że w jej sytuacji taka odpowiedź była czymś naturalnym. Mnie wszakże posłużyła do wzbogacenia mojego baśniowego obrazu Wenezueli.

Teraz, od momentu wylądowania na lotnisku Maiquetía w dniu 1 maja 1972 roku, miała nastąpić konfrontacja mojego prywatnego mitu z rzeczywistością. Lotnisko znajduje się tuż nad Morzem Karaibskim, 16 km od Caracas, które leży dość wysoko, 920 m nad poziomem morza, w wąskiej, długiej ponad dwudziestokilometrowej dolinie u stóp pasma zwanego Kordylierą Nadmorską, z górującym nad miastem szczytem Ávila (2137 m). Mit wciąż działał, więc po drodze do stolicy

oczarowały mnie migające przed oczami kolorowe domki stłoczone na stokach gór. Dopiero potem miałem okazję im się przyjrzeć. Okazało się, że są to *ranchitos*, czyli zwykłe slumsy sklecone z byle czego na wzgórzach zwanych *cerros*. Taka jest wizytówka stolicy Wenezueli od strony lotniska. Później dowiedziałem się, że w tych *ranchitos* pokrywających szczelnie stoki *cerros* wokół miasta mieszka połowa ludności dwumilionowej wówczas stolicy.

Wjechaliśmy do centrum handlowego. Wśród niskiej, niezbyt ciekawej zabudowy strzelają tu i tam okazałe wieżowce. Najstarsza część miasta jest niewielka i skromna. Całkowicie tonie w powodzi współczesnej tandety architektonicznej. Najciekawszy jest mały Plac Bolívara, z fontannami, pięknie zadrzewiony. Pod konarami rozłożystych drzew pomnik generała na koniu (pomniki Bolívara są wszędzie!), a po najwyższych gałęziach próbują się poruszać niezwykle powolne leniwce, jakże zasługujące na swą nazwę! Zawsze jakaś grupka przechodniów z zadartymi głowami wpatruje się w nie z ciekawością. W rogu placu interesująca bryła katedry z XVII wieku, dalej klasztor i kościół św. Franciszka z 1574 roku i dwa przylegające do siebie najciekawsze w mieście domy kolonialne: dom, w którym w 1783 roku urodził się bohater narodowy Wenezueli, Kolumbii, Ekwadoru, Peru i Boliwii – Simón Bolívar oraz siedziba Muzeum Bolívara. Wysokie okna z żelaznymi kratami, ciekawe portale. I to niemal wszystko, gdy chodzi o kolonialne Caracas. Jeszcze

daleko stąd, u stóp góry Ávila, willa Anauco, siedziba Muzeum Sztuki Kolonialnej. Te nieliczne okazy z epoki kolonialnej kilkakrotnie odbudowywano po częstych tutaj trzęsieniach ziemi.



Katedra, Caracas

Jednak prawdziwą wojnę zabytkom Caracas wydali sami władcy miasta, wyburzając począwszy od połowy XX wieku wszystko, co miało związek z przeszłością, by wznieść wysokościowce i wybudować ogromne autostrady okalające czy wręcz

przecinające miasto. Z wyjątkiem malutkiego starego miasta pieszy nie ma w Caracas najmniejszych szans: większość ulic poza centrum pozbawiona jest chodników, a ruch samochodowy jest niezwykle intensywny. Miasto stworzone jest wyłącznie dla zmotoryzowanych. Nie należałem do nich, toteż nie dziwota, że nie przypadło mi do gustu. Nie zawiodła mnie, jak zwykle, wyjątkowo piękna tutaj tropikalna roślinność. Chyba w żadnym innym tropikalnym mieście nie widziałem takiej ilości cudownie kwitnących drzew i krzewów. Zachwyciły mnie zwłaszcza ogromne *bucares* (*Erythrina poeppigiana*) z wielkimi ognistoczerwonymi kielichami kwiatów oraz fioletowo kwitnące *guarupas* (*Jacaranda filicifolia*), wiele różnorodnych gatunków palm, zbite kępy bambusów...

Najwięcej pięknej roślinności można zobaczyć na wzgórzach zabudowanych eleganckimi willami. Wzgórza te zwą się *colinas* w odróżnieniu od *cerros* pokrytych slumsami i znajdują się w bezpiecznej odległości od tych ostatnich. Czytelnikom nie znającym języka hiszpańskiego wyjaśniam: *cerro* i *colina* to synonimy oznaczające wzgórze, górę, ale to pierwsze słowo ma charakter bardziej gminny, pospolity, niż to drugie. Na *colinas* mieszkają najzamożniejsi, w willach-fortecach otoczonych często wysokimi murami. Zarówno tu, jak i w innych eleganckich dzielnicach, położonych tuż u stóp góry Ávila, w każdej takiej willi jest przynajmniej jedna służąca (najczęściej Mulatka) i jeden ogrodnik-kierowca w jednej osobie. Służące pracują w każdej

zamożniejszej rodzinie wenezuelskiej i czasami traktowane są przez właścicieli jak niewolnice w epoce kolonialnej. Oto jeden z kontrastów: szerokie autostrady z rwącymi potokami aut, nowoczesne wieżowce i ... służące-niewolnice.

Zamieszkałem w handlowej dzielnicy Chacaíto, we wschodniej części miasta, w niewielkim jednopiętrowym budynku przy Alei Franciszka de Mirandy 28. Właścicielka mieszkania, Doña Luisa Olavarrieta, starsza, ale wciąż elegancka i zadbana dama, była bliską przyjaciółką Eduarda i jego rodziny. Nazywali ją wszyscy „Luisita” (Ludwisia). Miała kudłatego białego psa o imieniu „Prince”, a ponieważ ta rasa nazywa się po hiszpańsku *perro de Pomerania* (pies pomorski), pani Ludwisia twierdziła, że jest moim rodakiem. Namiętnie oglądała (już wtedy!) brazylijskie seriale w telewizji, przeżywając niebywale perypetie ich bohaterów. Była też wielką miłośniczką *zarzuelas* (hiszpańskich operetek) i wciąż zapraszano ją na śluby i wesela. Pewnej soboty zdarzyło jej się być na trzech kolejnych ślubach!

Od początku mego pobytu jeździłem autobusem do położonej w starym centrum Biblioteki Narodowej. Mieściła się w dawnym klasztorze św. Franciszka, zwanym obecnie Pałacem Akademii (mieszczą się w nim również trzy czy cztery sekcje Akademii Nauk). Muszę przyznać, że niełatwo było mi się skupić na lekturze traktatów lingwistyczno-etnologicznych w wilgotnym, dusznym upale dochodzącym czasem do 30 stopni (wewnątrz nie

było klimatyzacji). Mimo wszystko, z uwagi na wysokie położenie Caracas, upał był o wiele znośniejszy, niż w Hawanie. Zwłaszcza noce były przyjemnie ciepłe, z lekką bryzą, nigdy upalne. Pod wieczór chodziłem do pięknego ogrodu naprzeciwko domu Doñii Luisy. Siadałem na ławce w cieniu i czytałem. Niestety, podczas jednej z takich wizyt podszedł do mnie jakiś malec i rzekł: „Mój dziadek nie lubi, kiedy pan tu przychodzi”. Przeprosiłem i na tym skończyło się odwiedzanie tego miejsca, którego właścicielom przeszkadzała moja dyskretna obecność. Pozostawała mi ruchliwa arteria do spacerów jej niebezpiecznym skrajem. Kiedyś późnym wieczorem nagle tuż przy mnie zatrzymało się jakieś auto, z którego „wysypała się” – niby to przypadkiem wprost na mnie – całkiem młoda „wesoła” Mulatka. Auto odjechało i wywiązał się między nami taki oto dialog:

Ona: Idziemy?

Ja: Idziemy!

Ona: A dokąd?

Ja: No, na przykład, na Plac Wenezuelski (było to dobre 3 km stamtąd).

Ona (kładąc mi rękę na ramieniu i z żalem w głosie): Ależ kochanie, ja pracuję!

Przez pierwsze cztery miesiące byłem stypendystą rządu wenezuelskiego i poza pracą w Bibliotece Narodowej odbywałem rozmowy i wywiady z etnologami, etnografami i dziennikarzami w różnych instytucjach naukowych i redakcjach czasopism (*El Nacional*, *Imagen*). Odwiedziłem między innymi siedzibę Towarzystwa im. Bolívara (*Sociedad Bolivariana*) i odbyłem rozmowę z jego ówczesnym prezesem Pedro Grasesem. W Instytucie Folkloru rozmawiałem z wybitnym etnologiem Luisem Felipe Ramónem y Riverą, a w Narodowym Instytucie Kultury i Sztuk Pięknych (INCIBA) moim rozmówcą był Luis Arturo Domínguez, autor interesujących prac na temat literackiego i muzycznego folkloru Wenezueli. W siedzibie Wenezuelskiej Akademii Języka Hiszpańskiego przyjął mnie jej dyrektor, wybitny krytyk literacki Ojciec Pedro Pablo Barnola. Wszystkie te interesujące rozmowy i spotkania aranżował Eduardo, któremu zawdzięczam właściwie wszystko, gdy chodzi o mój pobyt w Wenezueli. Przed wyjazdem do Watykanu, gdzie objął stanowisko ambasadora Wenezueli przy Stolicy Apostolskiej, towarzyszył mi także w czterech wyprawach: 1. na Wyspę Margarita przy wschodnim wybrzeżu Morza Karaibskiego, 2. do wioski Colonia Tovar, w górach, 60 km na zachód od Caracas, 3. na miejsce bitwy pod Carabobo, która w 1821 roku zadecydowała o niepodległości Wenezueli, 4. na plażę Chichiriviche, około 50 km na zachód od Caracas.



Pierwsza wyprawa była najdalsza i chyba najciekawsza. Jechaliśmy nocą do Puerto La Cruz na wschodnim wybrzeżu, przecinając wspaniałe lasy tropikalne i plantacje kakao. Wychylałem się przez okno samochodu i chłonałem to wszystko całym sobą, nie mogąc nasycić się cudowną wonią kipiącej po obu stronach drogi roślinności. Śmignął nam w pewnym miejscu *rabipelado* (*Didelphis marsupialis*), czyli torbacz zwany dydelfem. Pisząc te słowa sam zastanawiam się, dlaczego tak bardzo kocham najgłębszą z możliwych miłości ten tropikalny, kolorowy świat, pełen cudownych zapachów i barw, niesamowicie pięknych form, fantastycznie wkomponowanych w krajobraz. Odpowiedź tkwi w samym pytaniu i już właściwie nic nie muszę dodawać. Od maja do października trwa w Wenezueli pora deszczowa, czyli „zima” (co nie odnosi się w najmniejszym stopniu do niższych temperatur, a do faktu, że bardzo często padają ulewne deszcze). Przeżyliśmy taką tropikalną, może godzinną ulewę, po której zaraz wypogodziło się, a za jakiś czas wstało prażące słońce.

Z Puerto La Cruz po 4 – 5 godzinach podróży promem dotarliśmy na oddaloną o jakieś 120 km Wyspę Margarita, której rozmiary 84 x 42 km pozwalają w krótkim czasie dość dokładnie ją poznać. Wyspa słynie z pięknych plaż (dopiero pół roku później mogłem to w pełni docenić), hodowli ostryg i połowu pereł, stąd jej nazwa Margarita, co po grecku znaczy „perła”. W drodze powrotnej, tuż za Puerto La Cruz, zwróciłem uwagę na obsypane pięknymi

złotymi kwiatami drzewa zwane *araguaney* (*Tabebuia spectabilis*). Rosły na wzgórzach pokrytych suchymi, kolczastymi krzewami i niskimi drzewami. *Araguaney* to narodowe drzewo Wenezueli. To piękna tradycja w Ameryce Łacińskiej: każdy kraj ma swoje narodowe drzewo, kwiat i ptaka. Takim narodowym kwiatem jest orchidea (także na Kubie), a ptakiem – wspaniały śpiewak, czarno-żółto-biały *turupial* lub *turpial* (*Icterus icterus*), bardzo często hodowany w klatkach. Nie ukrywam, że mieliśmy zamiar, żona i ja, przywieźć takiego *turpiala* do Europy, ale chyba dobrze się stało, że tego w końcu nie zrobiliśmy. Pewno wkrótce dokonałby żywota w tej naszej zimnej, mglistej i smutnej części świata, głównie z tęsknoty za słońcem i rajskim otoczeniem.

Colonia Tovar to niemiecka wioska położona na wysokości 1700 m, założona przez osadników ze Schwarzwaldy w roku 1851. Klimat idealny ze względu na wysokość. Szachulcowe konstrukcje domów i kuchnia typowo niemieckie (znakomite strudle). Pole bitwy pod Carabobo znajduje się 220 km na zachód od Caracas, 38 km za miastem Valencia. Góruje nad nim monumentalny pomnik Bolívara. Jest plan sytuacyjny bitwy, płaskorzeźby przedstawiające poszczególne jej fazy.

Wspaniałym przeżyciem był wypad na plażę Chichiriviche de la Costa w obecnym stanie Vargas, około 30 km na zachód od lotniska w Maiquetía. Plaża znajduje się nad zatoczką w kształcie

muszli. Wpada do niej mała rzeczka. Od strony lądu palmy kokosowe, piękna roślinność. Miejsce trudno dostępne z uwagi na karkołomną górską drogę dojazdową. Wysoko na wzgórzach ogromne drzewiaste kaktusy *cardones*. Za lasem, jeden kilometr w głębi lądu, murzyńska wioska o tej samej nazwie Chichiriviche. Po raz pierwszy w życiu spędziłem dwie noce w hamaku. Spało się znakomicie.

Dzięki Eduardowi pokochałem kuchnię wenezuelską. Już pierwszego dnia zaprosił mnie na kolację do specjalizującej się w daniach narodowych restauracji „El Portón” (Wrota). Od razu podano *arepas* – okrągłe bułeczki z mąki kukurydzianej, ze śmietaną. Zastępują one w Wenezueli chleb i nawet portugalscy imigranci, których w Caracas bardzo dużo (są głównie właścicielami małych sklepików spożywczych), po powrocie do Portugalii zakładają restauracje, gdzie można je zamówić. Widziałem takie knajpki na Maderze. Zafascynował mnie także krem z malutkich małży morskich *chipi-chipi*. Oprócz *arepas* i zamiast kartofli czy o wiele powszechniejszego tu ryżu, jako składnik drugiego dania podaje się *cachapas*, grube, intensywnie żółte naleśniki z kukurydzy. Są przepyszne! Liczne potrawy z kukurydzy, na których opiera się kuchnia wenezuelska, to przysmaki indiańskie ochoczo zaakceptowane przez wszystkich Wenezuelczyków, także białych przybyszów z Europy, wśród których najwięcej jest Włochów, Hiszpanów i Portugalczyków.

Kilka zdań należy poświęcić owocom tropikalnym. Takiego bogactwa i różnorodności gatunków nie widziałem w żadnym innym kraju. Mówiono mi, że w Wenezueli istnieje ponad sto odmian samych bananów. Najcudowniejszym, prawdziwie rajskim owocem jest Mango (tak, świadomie piszę tę nazwę dużą literą, inaczej nie uchodzi!), którego smak, aromat, soczystość wywołują u konsumenta poczucie absolutnego spełnienia. Jedząc Mango doznaje się uczucia pełni doskonałości smakowej, jakiejś kulinarnej nirwany, całkowitego oderwania od codzienności, odfrunięcia na niebiańskie wyżyny genialnej perfekcji. Aż dziw, że dotąd nie wzniesiono pięknego pomnika Mango...



Llanos, Wenezuela

Na słynne równiny Llanos de Apure, tak sugestywnie opisane w powieściach Gallegosa, poleciałem sam. Nie sposób w paru zdaniach oddać różnicy między wrzaskliwym, szalonym, pulsującym niesamowitym rytmem Caracas, a tą głuszą, w której czas całkiem się zatrzymał od przybycia Kolumba, a może i od wcześniejszych epok. Po spędzeniu dwóch dni w zapadłej stolicy stanu Apure, sennym mieście San Fernando, położonym nad drugą co do wielkości (po Orinoko) rzeką Apure, poleciałem malutką wojskową awionetką do hacjendy hodowlanej Trinidad de Arauca, co znaczy Święta Trójca nad Arauką, kolejnym wielkim dopływem Orinoko. Lepiej nie mogłem trafić: rzeka Arauca jest rozślawiona na całą Amerykę Łacińską dzięki piosence będącej nieformalnym, drugim hymnem narodowym Wenezueli. Zaczyna się od słów: „Urodziłem się nad bystrym nurtem Arauki. Jestem bratem rzecznej piany, czapli, róż i słońca!” Jeszcze i ten obraz wzbogacał moją osobistą mitologię Równin. Szukałem jej potwierdzenia w rzeczywistości i o dziwo, wiele z jej wątków odnalazłem.

Już widok jeźdźców na koniach pędzących po bezkresie rozlewisk i rozpryskujących ogromne strugi wody, jakby znieruchomiałe w mojej optyce obserwatora z awionetki lecącej 300 metrów nad ziemią, idealnie pokrywał się z wizją Gallegosa. Nad sawanną przelatywały stada śnieżnobiałych czapli i szkarłatnych ibisów. Nie, stanowczo nie potrafię wyrazić tej bolesnej niemal radości, jaką odczuwałem patrząc na ten pejzaż tuż pode mną. Czułem się

wyróżniony, ogromnie wyróżniony przez Boga i tylko myślałem, że choćby dla takich chwil warto, warto żyć! A swoją drogą dlaczego nikt nie kręci filmów ukazujących to nieprawdopodobnie piękno wenezuelskich Równin podczas ciężkiej pracy tamtejszych kowbojów, zamiast tych kretyńskich amerykańskich filmideł, gdzie wciąż leje się krew i dominuje przemoc? Dlaczego ludzie tak kochają brzydotę i zło, wszystko, co ohydne, barbarzyńskie, odrażające? Oj, nie najlepiej to świadczy o naszych bliźnich!

Decyzją właściciela hacjendy, José Natalio Estrada, starszego pana, który popenił dość kiczowaty poemat symfoniczny pod tytułem *María del Llano* (Maria z Równin) zamieszkałem w tak zwanej „klatce” (*la jaula*), białym baraku krytym falistą blachą. Miało to dwa zasadnicze plusy: był tam działający prysznic i hamak do spania, oba niezwykle istotne wobec nieustannego, **potwornego** upału. Nie było żadnych mebli poza stołem, na którym położyłem walizkę i magnetofon do nagrań wywiadów z mieszkańcami hacjendy. Muszę przyznać, że wyglądało to dość surrealistycznie. Na drugim hamaku co jakiś czas spał pracujący w hacjendzie kowboj Pedro Emilio Sánchez. Dopiero niedawno dowiedziałem się, że był także znanym śpiewakiem z Równin. Umarł przedwcześnie w 1981 roku.

Rozmawiałem głównie ze starszym panem, który nazywał się Luis Magín Aranguren. Polecił mi go właściciel hacjendy

dodając: „Ten staruszek dużo wie!”. W istocie wiedział bardzo dużo. Potrafił szczegółowo opisać każdego ptaka, każdą roślinę, ponadto sypał anegdotami, recytował ludowe wierszyki, opowiadał własne przygody. Był wspaniałym rozmówcą, a jednocześnie miał w sobie dużo naturalnej godności. Nagrania z jego udziałem były dla mnie ogromną przyjemnością, choć pod koniec pot lał się ze mnie strumieniami. Otoczenie było szczególne. Tuż obok hacjendy toczyła swe czekoladowe wody szeroka Arauca. Na jej środku wyspa Angelero, skąd dochodziło niesamowite chrapanie małych wyjców, zwłaszcza o świcie i pod wieczór. Spotykano na jej brzegach także kajmany, gdzie indziej niemal wytępione ze względu na cenną skórę. Na wielkich liściach palm i w koronie drzew na podwórku przesiadywały gromadnie *tautacos* (*Theresticus caudatus*), czyli nieco inny gatunek ibisów o szaro-białym upierzeniu. Ustawicznie słyszeć było ich monotonny, bardzo głośny, urywany krzyk. Pod wieczór milkły zupełnie. Na środku podwórka wielkie drzewo – kurnik. W Wenezueli to zjawisko powszechne: kury zwawiej fruwać niż w Europie i są zdolne pofrunąć na gałęzie drzewa, które traktują jako grzędę do spania.



Ocelot

Już pierwszej nocy zakradł się na nie *cunaguaro* (*Felis tigrina*), kot nieco mniejszy, niż ocelot, o pięknym, cętkowanym jak u jaguara futrze. Spłoszony skoczył z drzewa na dach baraku, w którym spałem. Tam zastrzelił go kierowca Gamarra. Proszę sobie wyobrazić, jak się czułem, gdy w środku nocy usłyszałem strzały i huk jakiegoś ciężaru spadającego na dach, a potem toczącego się w dół. Powtarzam: była to moja pierwsza noc w hacjendzie. Wyobrażałem sobie, że to Indianie *Yaruros* z drugiego brzegu Arauki zaatakowali hacjendę, wszak Gallegos

pisał o nich jako o dość wojowniczym plemieniu. Teraz wiem, że już w połowie XX wieku zostało ich niewiele, żyli w nędzy, pozbawieni pracy i rozproszeni. Nazajutrz pokazano mi winowajcę. Leżał rozciągnięty na drewnianym podwyższeniu, z roztrzaskanym pyskiem. Futro miał przepiękne! Bardzo mi go było żal.

Z drugiej strony remontowanej wówczas willi właściciela rosły jakieś krzewy, wśród których spacerowały wielkie tamtejsze „indyki” – *paují* (*Crax nigra*) o czarnych, lśniących piórach i kędzierzawym dużym czubie na głowie. Droga prowadziła w głąb sawanny. Bliżej rzeki z gałęzi wielkich drzew zwisały długie gniazda *arrendajos* (*Cacicus cela*), pięknych czarno-żółtych ptaków. Lubiłem chodzić nad Araukę, ale nie zapuszczałem się daleko w obawie przed jadowitymi węzami. Sceneria była nieprawdopodobna. Od zapadnięcia zmroku przez całą noc rozbrzmiewał wspaniały głośny koncert niezliczonej ilości insektów. Stanowił doskonałą chóralną kołysankę. Niebo usiane było zawsze mrowiem mocno i jakoś bardzo nisko świecących gwiazd. A jeszcze opowieści Gamarry o tym, jak upolował kapibarę w starorzeczu Arauki. Jej mięso uchodzi za wielki przysmak na Równinach. Przyznam, że nie wprowadziło mnie w zachwyt.

Mijały godziny i całe dni, a obiecana podróż łodzią w górę rzeki do miasteczka Elorza nie dochodziła do skutku. Już byłem

znieczcierpliwiony bezczynnością. Nikt nie wiedział, o co mi chodzi, bo miałem przecież gdzie spać i co jeść i zupełnie nie wiedzieć czemu spieszyłem się do Caracas. „Po co do Caracas? Czy tu panu źle? Tu jest prawdziwe, wspaniałe życie!” Mimo tych zapewnień, posuwając się niemal do granicy niegrzeczności wymogłem na panu José Natalio, że nazajutrz pojedę konno wraz z kowbojami aż do odległego o 15 km folwarku Agua Verde (Zielona Woda), by po drodze przyjrzeć się, jak wygląda chwytanie dzikiego bydła na lasso, pędzenie świeżo schwytanych byków i krów wewnątrz stada oswojonych i wreszcie ujarzmianie tych dzikich poprzez ujeżdżanie i powalanie przez młodziutkich chłopców odpowiednim chwytem za ogon, a potem pieczętowanie tak poskromionego bydła rozpalonym żelazem z inicjałami właściciela. Ostatnie stadium, ujeżdżanie i pieczętowanie odbywało się już w zagrodzie, w samym folwarku. Zwłaszcza ujeżdżanie było ogromnie trudne. Narowiste zwierzę zrzucało wielokrotnie jeźdźca na ziemię zanim się poddało i pozwoliło powalić. Chłopcy – jeźdźcy mieli pod koniec tej zawziętej walki ubranie całe w strzępach. Mimo pozornego poskromienia, jedna z krów tak mocno uderzała głową o drągi ogrodzenia aż popełniła samobójstwo.

Podczas całej operacji kowboje mieli na mnie baczenie, ale parę razy znalazłem się w samym środku akcji chwytania na lasso rozjuszzonego i wściekle szarpiącego się byka. Poza tym straszili, gdy przedzierałismy się przez rozlewiska: „Proszę uważać! Pod

wodą mogą być kajmany!”. Nie miałem podstaw, by im nie wierzyć, bo po drodze widzieliśmy *babos* (*Caiman sclerops*), nieco mniejszych i mniej agresywnych kuzynów kajmanów, które też mają zęby nie od parady. Podnosiłem więc wysoko stopy na wypadek, gdyby jakiś kajman chciał mi je napocząć i czułem się pewniej dopiero gdy wynurzyłem się wraz z koniem ponad powierzchnię wody. Sama jazda konna przez soczystą, intensywnie zieloną sawannę była czymś niezapomnianym. Co jakiś czas mijaliśmy siedzące na drzewach i brodzące w rozlewiskach stada białych czapli i szkarłatnych ibisów, które podrywały się do lotu. Przysięgam, że rzadko widywałem coś równie pięknego, chyba nigdy! Młode ibisy są jeszcze różowe, ale dorosłe mają pióra tak intensywnie szkarłatne, że na tle ciemnozielonego dywanu sawanny takie przelatujące stado wygląda nieziemsko pięknie. Dla Europejczyka taki obraz jest ucieleśnieniem absolutnie cudownym jakiejś baśniowej sceny, którą widział w dzieciństwie na ilustracji lub w kinie na przepięknym radzieckim filmie rysunkowym. Tak, bo te radzieckie filmy rysunkowe dla dzieci były przepiękne.

Na kolację było, oczywiście, świeżo upieczone mięso wołowe z owej krowy, która sama się zabiła. W momencie, gdy kowboje układali się w hamakach do snu, przyszło mi do głowy, by dyskretnie zapytać jednego z nich, gdzie jest toaleta. „Toaleta? – odparł lekko zdziwiony. A tu wszędzie dookoła, gdzie tylko pan sobie życzy!”, przy czym wykonał ręką odpowiedni szeroki gest.

Nagle uświadomiłem sobie, jak dalece śmieszne, by nie powiedzieć idiotyczne było moje pytanie. Na drugi dzień był już tylko powrót konno do hacjendy Trinidad de Arauca. Nabrałem takiej pewności siebie, że jechałem już całkiem szybkim truchtem. Wyprzedzał mnie Juan Ramón i śpiewał pięknie improwizując. Ten jego improwizowany śpiew przy zachodzącym słońcu, pośrodku cudownej, zielonej, bezkresnej wenezuelskiej Równiny, był godnym końcowym akcentem mego pierwszego pobytu na Wielkich Równinach.



Wielkie Równiny

Cała ta wyprawa należy do najcudowniejszych przeżyć w moim życiu. Ileż w niej magii, tajemniczości, a przy tym sam się przekonałem, że Rómulo Gallegos miał po stokroć rację: to nie fantazja, to rzeczywistość, tyle, że magiczna. Ogrom Równiny Wenezueli, tak jak argentyńska pampa, wyzwala w ich mieszkańcach skazanych na samotność konieczność rozmowy z samym sobą, gdy obok nie ma kompanów. Stąd ta wspaniała improwizacja prawie zawsze w tonie pozytywnym, wyrażająca zachwyt dla całej krainy, konia, pracy na sawannie, tęsknotę za nieobecną tu dziewczyną. Może nieco idealizuję teraz to wszystko, ale wyprawa była naprawdę fascynująca, niezapomniana. Dzięki, dzięki wielkie, panie José Natalio

Estrada, dzięki, wspaniali jeźdźcy!

Już chyba w czerwcu 1972 roku nawiązałem kontakt z Wyższym Instytutem Pedagogicznym w Caracas, gdzie od października miałem rozpocząć pracę. Spotkałem tam moje dwie znajome z kursu w Maladze w 1967 roku, Josefinę Falcón de Ovalles i Ernestinę Salcedo. Obie wykładały na tej uczelni i dzięki nim poznałem osobę, z którą do końca pobytu w Wenezueli utrzymywałem najżywsze kontakty. Była to nauczycielka języka hiszpańskiego w znanym karakaskim liceum, Olivia Carmona. Jak większość intelektualistów wenezuelskich Olivia miała poglądy mocno lewicowe, by nie powiedzieć komunizujące. Z pewnością wiedziała, w jaki sposób trafiłem do Wenezueli, a mimo to właśnie z jej strony spotkało mnie najwięcej życzliwości. Bezpośrednim powodem jej poznania był fakt, że jej ojciec pochodził właśnie z Równin, z miasteczka Elorza nad rzeką Arauką. Nagrałem z nim bardzo długą rozmowę, podczas której czytał mi wiersze ludowych twórców z Równin. Było to na krótko przed jego śmiercią i Olivia prosiła mnie potem o to nagranie, by zachować na pamiątkę jego głos. Kolejnym mężem Olivii został wówczas Artajerjes Muñoz, bardzo młodo prezentujący się u jej boku wiotki efeb. Oboje towarzyszyli mi w kilku wypadach poza Caracas.

Najciekawszym był kolejny wyjazd na Równiny w Stanie Apure. Było to chyba gdzieś w okolicy San Juan de Payara, na południe

od San Fernando. Trwała pora deszczowa i przecinaliśmy ogromne rozlewiska (*esteros*) łodzią motorową sterowaną po mistrzowsku przez niezwykle sympatycznego, cały czas promiennie uśmiechniętego tubylca o ogorzałej od słońca twarzy. Dotarliśmy do jakiejś hacjendy stanowiącej małą zadrzewioną wysepkę w bezmiarze wód. Właściciel o wyglądzie patriarchy dał się namówić na wywiad ze mną. Niestety, nie zaopatrzyłem się wówczas w magnetofon, a notatki w zeszycie to jednak zdecydowanie nie to samo. W drodze powrotnej do Caracas, po przekroczeniu mostu na Apure za San Fernando skręciliśmy w prawo w kierunku miasteczka Guayabal, by zabrać stamtąd matkę Olivii. Gdy już wyjeżdżaliśmy na główną drogę do Caracas, ujrzeliliśmy Metyskę niosącą na głowie wielki stos dużych, cienkich, okrągłych placków z maniokowej mąki, zwanych *casabe*. To indiański chleb w całym Basenie Morza Karaibskiego. Jak bardzo uwielbiają go nadal Wenezuelczycy miałem okazję się przekonać, gdy Olivia natychmiast zatrzymała samochód, kupiła kilka placków od owej kobiety i cała trójka jeła pałaszować je z wielkim apetytem. Mnie wydały się nieco suche i lekko wiórowate.



Na św. Jana pojechaliśmy razem do murzyńskiego miasteczka Curiepe, w regionie Barlovento (stan Miranda). Odbywa się tam wówczas wielki ludowy festyn i nocą mieszkańcy grają na długich drewnianych bębnach *mina* i krótszych *curbata* oraz innych instrumentach perkusyjnych, na przykład *quitiplás*, czyli bambusowych rurkach, którymi wybija się rytm uderzając o ziemię. Zabawa zakrapiana jest obficie gorzałką z trzciny cukrowej i rumem. Olivia, chcąc zachęcić pewną czarną *doñitę* (miłą panią), jak ją nazywała w rozmowie, do interesujących wynurzeń natury folklorystycznej, wręczyła jej butelkę rumu.

Aliści *doñita* okazała się na tyle niewdzięczna, że zawładnąwszy bezcennym łupem miast snuć ciekawe opowieści obdarzyła biedną Oliwię wiązką soczystych inwektyw. Jeszcze raz potwierdziło się, że odpust czy to w Łowiczu czy w Curiepe to nie najlepsza okazja do zasięgania rzeczowych informacji.

W lipcu 1972 roku odwiedziłem dwukrotnie wenezuelską Gujanę, czyli wschodnią część stanu Bolivar, gdzie rozgrywa się akcja powieści *Canaima* Gallegosa. Obszar to zupełnie inny, niż Wielkie Równiny. Północną jego granicę wytycza środkowy i dolny bieg Orinoko, „Ojca” wenezuelskich rzek. Ogromną atrakcją turystyczną jest leżący stosunkowo blisko granicy z Brazylią płaskowyż zwany *Gran Sabana* (Wielka Sawanna), z którego wyrastają gigantyczne „stoły” skalne, zwane *tepuyami*, porośnięte tropikalną dżunglą. Ze szczytu jednego z nich, *Auyantepuy*, spada najwyższy na świecie Wodospad Angela, odkryty w 1935 roku przez amerykańskiego pilota o tym nazwisku. Ma ponad tysiąc metrów wysokości. Jego indiańska nazwa brzmi: *Churún Merú*.

W biurze podróży w Caracas, gdy czekaliśmy na autokar, który miał nas zawieźć na lotnisko, pojawiła się pani o europejskim wyglądzie w towarzystwie młodej ósóbki i spytała po hiszpańsku, czy ktoś z uczestników wyprawy mówi po niemiecku. Zgłosiłem się i zostałem opiekunem Helgi Geuer z Akwizgranu, młodej nauczycielki w szkole dla dzieci upośledzonych umysłowo

(*imbizile Kindern*). Helga co roku zwiedzała atrakcyjne zakątki świata, filmując je i robiąc przepowiednie. Po powrocie do Akwizgranu prezentowała te materiały swoim uczniom. Tym razem odwiedziła zamieszkałą w Caracas ciotkę (tę właśnie panią, z którą weszła do biura) i wybierała się tak jak ja do Canaimy w sercu wenezuelskiej Gujany. Poleciliśmy najpierw do Ciudad Bolivar, stolicy stanu. Nie zapomnę widoku szerokiej wstęgi Orinoko w dole. Potem kontynuowaliśmy podróż mniejszym samolotem, który poszybował daleko na południe mijając Canaimę, specjalnie po to, by zatoczyć koło w przepastnym skalnym kanionie słynnego Wodospadu Angela. Wszyscy przykleiliśmy twarze do okienek i z emocją przyglądaliśmy się tym spadającym z ogromnej wysokości masom wody i potężnym, pionowym ścianom skalnym. Choć samolocik zatoczył aż dwa koła, trwało to zbyt krótko, by nasycić wzrok tym cudownym widokiem.

Zaraz potem zawróciliśmy na północ i za parę minut lądowaliśmy w Canaimie. I znów baśniowa sceneria: rzeka Carrao (dopływ olbrzymiej Caroní, która wpada do Orinoko) tworzy tu rząd potężnych, rozdzielonych pasmami bujnej roślinności wodospadów zwanych *Salto Hacha* (Wodospad Siekiera), a te z kolei – spore jezioro o nazwie *Laguna de Canaima*. Prąd jest tak silny, że woda w jeziorze ciągle wiruje, aż wreszcie wypływa z niego jako szeroka, rwąca rzeka, zmierzając ku pobliskiej, jeszcze większej Caroní. Woda, na skutek naturalnych

barwników mineralnych i roślinnych, ma niesamowity zupełnie kolor coca-coli lub jeśli ktoś woli, przejrzystego wiśniowego soku. W niej, dość daleko od brzegu jeziora, rosną trzy piękne palmy. W tle ogromne stoły skalne. Sawanna przeplata się z dżunglą. Na brzegu jeziora zbudowano małą, śliczną wioskę dla turystów. Domki w stylu indiańskich chat, kryte strzechą. Obok wysoko położonej restauracji, z której roztacza się wspaniały widok na jezioro i wodospady, na drzewie, wielkie kolorowe ary (*guacamayos*). Ich opiekun czule rozmawia z nimi po węgiersku.

Już na miejscu poznaliśmy sympatyczną Mulatkę z holenderskiej wyspy Curaçao. Miała na imię Margarita i zupełnie nieźle mówiła po hiszpańsku. Nie miała żadnych kłopotów z porozumiewaniem się z Helgą: holenderski jest bardzo zbliżony do niemieckiego, a poza tym, zdaje się, obie znały trochę angielski. Byliśmy najmłodszymi uczestnikami tej wycieczki i trzymaliśmy się razem. We trójkę wybraliśmy się w dół rzeki Carrao dochodząc do dużej, okrągłej opuszczonej wówczas indiańskiej chaty. Takie pojedyncze chaty zwane *churuatas* mieszczą całą wioskę i są typowe dla Indian wenezuelskich. Na obszarze Stanu Bolívar mieszkają *Maquiritare*, *Panare*, *Piaroa*, *Shiriana*, a konkretnie tu, na Wielkiej Sawannie, *Pemonowie*, zwani także *Taurepanami*. Owa *churuata* należała więc z pewnością do tych ostatnich. W pobliżu spotkaliśmy indiańską rodzinę. On tulił w ramionach niemowlę, a ona właśnie piekła *casabe*, opisane wcześniej maniokowe placki. Obok, na poprzecznym drągu, wisiał *sebucán*,

długa rura pleciona z liści palmowych, do której przez jej górny otwór wsypuje się i ubija utarty gorzki maniok. Elastyczna konsystencja tego urządzenia powoduje, że pod wpływem ciężaru jego ścianki wyciskają z manioku trujący płyn, który zbiera się do stojącego pod *sebukanem* naczynia. Po zagotowaniu służy jako zupa oraz do przygotowania octu i miodu. Substancje trujące ulatniają się podczas gotowania.

Innym razem nasz „tercet egzotyczny” powędrował w górę Carrao, ścieżką przez dżunglę, w której, o dziwo, panowała zupełna cisza: nie słychać było śpiewu ptaków, nie płoszyliśmy żadnych zwierząt. Doszliśmy do wielkiego leśnego muzeum „Rudy Jungle” (Dżungla Rudolfa). Przyjęli nas właściciele: ów Rudy i jego żona, oboje Holendrzy. Na ścianach wisiały wspaniałe trofea myśliwskie: skóry jaguara, kajmana, wielkiego mrówkojada, boa, anakondy, rogi tutejszych jeleni, spreparowane głowy tapirów, mnóstwo żywych i wypchanych kolorowych ptaków. Wróciliśmy do naszej wioski na przełaj przez sawannę. Na poszukiwanie diamentów pojechałem bez moich przyjaciółek: Helga była tak spieczona i obolała, że Margarita postanowiła zostać z nią w wiosce, by ją kurować. Najciekawsza była podróż łodzią wiosłową w tunelu utworzonym nad rzeczką przez gęste gałęzie drzew. Z ich konarów zwisały długie, brodate epifity, a wśród nich co jakiś czas wabiły wzrok prawdziwe klejnoty: piękne, liliowe orchidee. Potem było nudne grzebanie w piasku na dnie małego strumyka, przesiewanie tego piasku przez

duże, płaskie sita. W efekcie ktoś znalazł dwa malutkie diamenty, a reszta śmiertelnie się wynudziła...

Przez jakiś czas trwała korespondencja między Helgą a mną. Przysłała ładne zdjęcie, które zrobiła mi na częściowo zatopionej indiańskiej łodzi nad rzeką Carrao. Napisała też Margarita. Okazało się, że odwiedziła Helgę w Akwizgranie...

ciąg dalszy nastąpi



Quinta Anauco, Caracas

Zygmunt Wojski, ur. w 1941 r., absolwent filologii romańskiej na Uniwersytecie Warszawskim. Studiował filologię hiszpańską i hispanoamerykańską na Uniwersytecie Hawańskim (Kuba), ukończył wyższy kurs filologii hiszpańskiej w Maladze i kurs szkoły badań lingwistycznych w Madrycie. Odbił studia doktoranckie na Uniwersytecie Warszawskim, a w 1984 r.

obronił pracę doktorską "Particularidades léxicas del español hablado en los Llanos de Venezuela" i uzyskał tytułu doktora nauk humanistycznych. Studia podyplomowe odbył w Institut d'Etudes Hispaniques na Sorbonie, pod kierunkiem prof. Bernarda Pottiera.

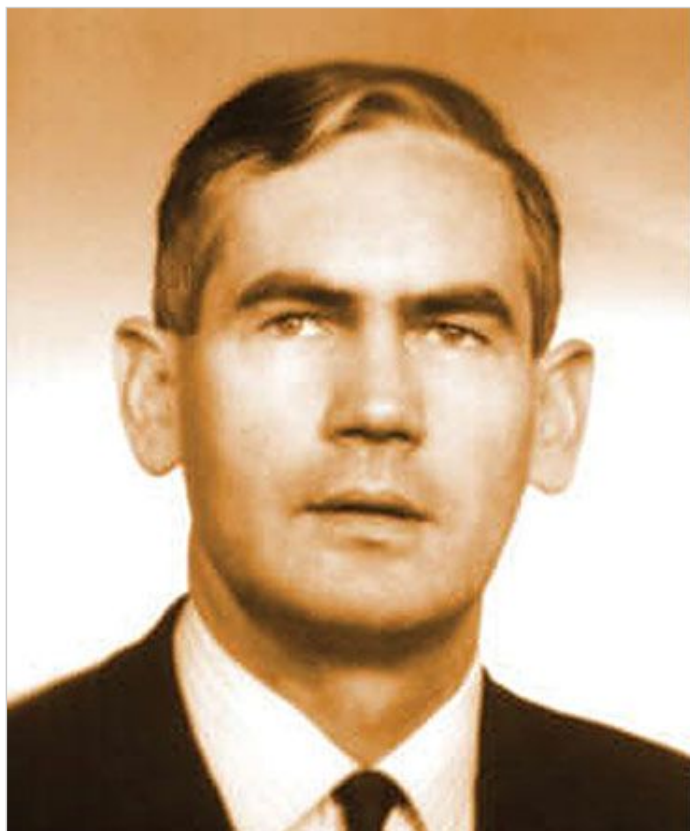
W latach 1972-1973 przeprowadzał badania nad hiszpańszczyzną mówioną w Wenezueli i prowadził seminarium z leksykografii hispanoamerykańskiej w Instituto Pedagógico Nacional w Caracas. Był też wykładowcą metodyki nauczania języka hiszpańskiego dla cudzoziemców w Instituto de Cultura Hispánica w Madrycie (1973-76). W latach 1976-2007 wykładał język i kulturę portugalską, gramatykę francuską i hiszpańską, historię i kulturę Ameryki Łacińskiej oraz historię języka hiszpańskiego w Instytucie Filologii Romańskiej Uniwersytetu Wrocławskiego, gdzie także prowadził proseminaria poświęcone hiszpańszczyźnie amerykańskiej.

W latach 1976-2006 prowadził badania lingwistyczne i wykłady na Kubie, w Meksyku, w Niemczech, we Francji, w Danii, w Hiszpanii, w Portugalii, w Brazylii, w Argentynie, w Gwatemali, w Urugwaju, w Panamie. W tym samym okresie przygotował serię sesji naukowych poświęconych kulturze i cywilizacji portugalskiej (poezja Camõesa i Pessoa, Lizbona, Madera, Azory, twórczość José Saramago, Amália Rodrigues).

W 1985 r. po raz pierwszy w historii Uniwersytetu Wrocławskiego wprowadził lektorat języka portugalskiego. W latach 1998-1999 był kierownikiem Zakładu Iberystyki Uniwersytetu Wrocławskiego. Mimo, że w 2006 roku przeszedł na emeryturę, w latach 2007-2010 był starszym wykładowcą w Wyższej Szkole Zarządzania Marketingowego i Języków Obcych w Katowicach, a w latach 2011-2012 – starszym wykładowcą w Państwowej Wyższej Szkole Zawodowej im. Angelusa Silesiusa w Wałbrzychu.

Bogumił Witalis
Andrzejewski
(1922-1994) –

afrykanista i poeta



Bogumił Witalis Andrzejewski (1922-1994) – znakomity filolog i miłośnik literatury somalijskiej oraz polski poeta i Margaret Laurence (1926-1987) – dziennikarka i ceniona pisarka kanadyjska, fot. arch. „Nowego Dziennika”.

Florian Śmieja

Kiedy przed laty szedłem z Bogumiłem Andrzejewskim elegancką ulicą londyńską Strand, zaczął trąbić i zatrzymał się

koło nas rasowy samochód, a jego pasażerowie z okrzykami radości uprowadzili mojego towarzysza z sobą. Byli to wysokiej rangi członkowie rządu somalijskiego, którzy rozpoznali swojego wielkiego przyjaciela i dobroczyńcę, ba, jednego z ojców zreformowanego języka somalijskiego.

Wtedy w Londynie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych rojno było od niezwykłych rodaków zamieszkujących czasowo angielską metropolię. Pamiętam, jak po żonę, elegancką blondynkę, przychodził po wykładach Polskiego Uniwersytetu Na Obczyźnie postawny Marian Nowakowski, bas królewskiej opery Covent Garden, co obserwując bliżej wnioskowaliśmy, że w domu śpiewał innym głosem; w czytelni biblioteki British Museum furczał czerwony na twarzy zwalisty Stanisław Cat-Mackiewicz, szukając śmiałka, który się odważył wypożyczyć jego ulubioną lekturę, „Herbarz” Bonieckiego; ktoś chwalił się, że widział brzoskwiniowej cery generała Mariana Kukieła zaręczając, że wyglądał jak żywy; w okolicach Russell Square spotykałem nieśmiałego poetę i afrykanistę, Bogumiła Witalisa Andrzejewskiego. Przedstawił mi go mój ówczesny szef, dr Jerzy Pietrkiewicz, który go znał od 1944 roku.

Część obowiązków młodego lingwisty Andrzejewskiego polegała na skrupulatnym zapisywaniu głosów Somalijczyków w ciasnym biurze mieszczącym się naprzeciwko nieomal lokalu wydawnictwa Faber and Faber, do którego regularnie

przychodził wtedy jeszcze T.S. Eliot. Ponieważ kamienica, w której uczyłem, również znajdowała się przy Russell Square, bardzo mnie radowało zacne sąsiedztwo. Pietrkiewicz wspomina o pieczołowicie nagranych taśmach, które dziś przechowuje amerykański uniwersytet Indiana. Także sam autor mówi o nich w wierszu:

Jedni po bibliotekach siedzą nad książkami.

Inni po starych rękopisach wodzą błędnym okiem

*A ja teraz trwam w pobliżu Russell Square pochylony w
nasłuchu*

Prawie rybim, nad koliskami magnetofonowych taśm.

Wiem, że to już był dalszy etap pracy, bo jeszcze pamiętam Bogumiła nagrywającego na drucik, pierwsze nagrania, jak zapamiętałem, były na zwojach drutu. Lecz nie tylko nagrywał, zachwycał się także egzotycznym językiem:

*O jak piękne dźwięki wykształcili nasi bracia z pustyni i
puszcz*

W swych rozlicznych mowach!

Słucham, a tu biją

*Metaliczne samogłoski, mocne jak z gardzieli spiżowego
wołu..*

Pokochał nie tylko język tak odmienny, ale dostrzegał również jego bogactwo i sprawność, w odróżnieniu od ludzi, którzy nie zadawali sobie trudu, by go gruntownie poznać, on natomiast przepłynął „na drugą stronę semantycznego Styksu”. W liście do Pietrkiewicza z Somalii wraz z rękopisem wiersza „Kraje legendarne” informował: „Pieśni, które śpiewają na wieczornych zgromadzeniach są tak czarujące i jak chodzi o melodie, i poetyckość słów i rytm. Człowiek słuchając zatracą poczucie rzeczywistości i zdaje się, że śni.”

Bogumił Witalis Andrzejewski urodzony w Poznaniu w 1922 roku, uszedł z Polski kiedy wybuchła wojna i zawędrował do Palestyny. Jako żołnierz Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich bronił Tobruku w 1941 roku i tam został ranny oraz debiutował jako poeta w prasie żołnierskiej. Obserwując nocami niebo zanotował w „Dziwach niebieskich w Tobruku”: „Pustynia pod sklepieniem nieba. Gwiazdy błyszczą. Ale są bardzo dalekie.

Gwiazdy są samotne, pustynia jest bezdomna.” Z pomocą obleganym pospieszyła polska rezerwa z Egiptu, w tym mój Teść, który w swoim pamiętniku opisał niefortunną wyprawę, która po zbombardowaniu przez niemieckie lotnictwo, musiała zawrócić do Aleksandrii.

Dziesięć lat później ta jałowizna pustynna miała zawezwać do siebie adepta języków kuszyckich, a szczególnie języka somalijskiego. Jako absolwent Oksfordu pojechał na stypendium do Afryki, którą miał potem jeszcze odwiedzać trzynastcie razy, w tym trzykrotnie na całoroczne pobyty.

W czasie pierwszej naukowej wyprawy w latach 1950-52 poznał młodą kanadyjską dziennikarkę, która później miała stać się wybitną pisarką, Margaret Laurence (1926-1987), wraz z mężem inżynierem znalazła się wtedy w Somalii, wówczas jeszcze brytyjskim protektoracie.

Margaret, osierocona przez matkę, kiedy miała cztery lata, pozyskała wspaniałą macochę w ciotce swojej, a siostrze matki, która będąc nauczycielką angielskiego, a później bibliotekarką, wcześniej już zachęciła ją do czytania i pisania. Pisać zaczęła jeszcze w szkole, a także ogłaszać pierwsze teksty. Po ukończeniu filologii angielskiej została dziennikarką w prowincji preryjnej Manitoba. Po poślubieniu inżyniera, pojechała wraz z nim na kontraktową pracę do Afryki, gdzie powstały jej pierwsze

książki o tematyce związanej z Czarnym Lądem.

Laurence jest autorką szesnastu książek, z których najważniejszy jest cykl powieści „Madawaka”, nazwany tak od jej domku letniego w Kanadzie. Do nich zalicza się najgłośniejsza powieść „Kamienny anioł”, której bohaterka, starsza kobieta, wspomina swoje długie życie malując z maestrią krajobraz i obyczaje wsi w Manitobie na przełomie dziewiętnastego i dwudziestego wieku.

Kanadyjka, dzięki spotkaniu z Andrzejewskim w Somalii poznała somalijską literaturę ustną i z jego zachętą i wydatną pomocą zaczęła tłumaczyć fragmenty tej literatury na język angielski. Tak powstała jej pierwsza książka, „A Tree for Poverty” (Drzewo biedoty), zbiór przekładów poezji i prozy somalijskiej z obszernym wstępem.

„Miałam szczęście poznać Goosha Andrzejewskiego. Polaka, który tu się znalazł z żoną Angielką, by studiować język somalijski” – tak pod datą 4 września 1951 roku pisała Margaret Laurence do swojej przyjaciółki Adeli Wiseman w Kanadzie z miejscowości Hargeisa, stolicy administracji brytyjskiej.” Jest on czymś w rodzaju eksperta od języka somalijskiego i jest bodaj jedynym Europejczykiem, który z nimi potrafi rozmawiać na różne tematy w tym na podstawowe jak miłość, wojna itd. Jego asystent Musa Ismail (Galaal – przyp.FS), Somalijszyk, jest

wielkim miłośnikiem literatury somalijskiej”.

W wydanej w 1963 roku książce podróżniczej „Wielbłądzi dzwonek Proroka” znajdziemy wiele szczegółów autobiograficznych, a także nawrót do spotkania autorki z Andrzejewskimi. „Guś (jego prawdziwe imię brzmiało Bogumił a zdrobnienie wymawia się goosh) był Polakiem, mężczyzną wysokim, o pogodnej i prawie orientalnej twarzy, wysokich kościach policzkowych, nieco skośnych oczach. Był poetą w swoim ojczystym języku.

- To prawda, ale co mi z tego? - powiedział z głęboką słowiańską melancholią.

W Polsce nie można mojej poezji drukować a kogo w Anglii obchodzi wydawanie wierszy pisanych po polsku?

Jego nastrój zmieniał się jak wahadło. Niespodziewanie wybuchał śmiechem oferując nam somalijskie dowcipy albo i własne zabarwione lekką makabrą. Językiem somalijskim władał swobodniej niż jakikolwiek Europejczyk w kolonii, bo przybył badać język somalijski i jego fonetykę.

Sheila, żona Gusia, była ładną i zdolną Angielką. Wszystko robiła bez najmniejszej ostentacji, tak że dopiero po upływie pewnego czasu stawało się jasne, że była chyba jedyną w

kolonii Angielką, która sama gotowała.

- Lubię gotować - mówiła - więc dlaczego nie miałabym gotować'?

Guś jadł zachłannie, ale nigdy na wadze nie przybierał. Podczas wojny, kiedy uciekał z Polski, często, przymierał głodem. Kiedy wreszcie dotarł do Anglii, wstąpił do Wolnych Polskich Sił Zbrojnych, a po skończeniu się wojny poszedł na studia do Oksfordu. Teraz gotowała dla niego Sheila z czułością, jakby mu chciała zadośćuczynić za wszelkie przywacie, które wycierpiał. Wszystko gotowała na malenkim prymusie, a potrafiła nawet przemyślnie upiec ciastka, które nazywała biskwitami, robiąc z patelni piekarnik.

- Nie czuję się żadną panią - przyznała.

Ja czułam to samo. To odkrycie bardzo nam dodało otuchy”

W korespondencji z 1963 roku Laurence napomknęła, że Guś Andrzejewski wywierał na nią bardzo dobry wpływ.

Przyjaźń z Andrzejewskimi trwała i tak po przyjeździe Margaret Laurence do Anglii donosiła ona w liście z 25 kwietnia 1965, że często widuje się z Gusiem i Sheilą, że akurat ubiegłego wieczoru u nich była. “Guś należy do najdzielniejszych i

najlepszych. Nigdy nie zapomnę, kiedy tu przyjechałam dwa i pół roku temu, jak próbował bardzo, bardzo taktownie dodać mi otuchy opowiadając mi przysłowia: 'Wśród ludzi Barona Gallo, jest powiedzenie...' Jego przekładami posłużyłam się w artykule o Szalonym mulle''. Jeszcze w liście do Andrzejewskiego z 25 listopada 1971 roku usprawiedliwiając niemożność przyjazdu do Londynu nawałam pilnej pracy, zapraszała do siebie na weekend.

Pisząc o twórczości Margaret Laurence Clara Thomas podkreśla, że jej technika pisarska wiele zawdzięcza Afryce, ucho autorki wyczuliło się na subtelne odcienie znaczenia podczas słuchania somalijskich opowieści oraz ich komentarza i obróbce literackiej z tłumaczem, którym jak wiemy, był w pierwszym rzędzie Bogumił Andrzejewski, nie tylko znakomity filolog i miłośnik literatury somalijskiej, ale także oryginalny polski poeta.

„Drzewo biedoty” powstało w pośpiechu. Laurence nie znała języka somalijskiego i nigdy się go nie nauczyła dostatecznie, ale z młodzieńczą pasją i wielką ambicją paliła się do odkrywania nowego obszaru zainteresowania. Argumentowała, że obecni w kolonii Brytyjczycy nie wiedzieli nic o istnieniu literatury somalijskiej i że należało im tę lirykę i epikę pokazać jak najszybciej.

Spytawszy Musę, czy by nie można było przełożyć próbek

tej ustnej literatury, o której słyszała, na język angielski, spotkała się ze stanowczym zaprzeczeniem. Andrzejewski natomiast, choć również powściągliwy, takiej możliwości nie wykluczał i zgodził się pomóc. Margaret wnet mogła napisać, że przystępuje do pracy troje ludzi: ona, Musa i Andrzejewski.

Wspólne przekładanie odbywało się w następujący sposób: „Musa znał wiele *gabei* i *below*, posiadał też bogatą znajomość tła i stylu poezji somalijskiej. Choć jego znajomość angielskiego była dobra, musiał subtelność słów przedyskutować z Gusem po somalijsku. Guś i ja z kolei omawialiśmy te wersy po angielsku a ja notowałam znaczenia dosłowne, implikacje słów, odnośniki do somalijskich tradycji lub obyczajów. Wtedy byłam w stanie później pracować nad tymi materiałami i próbować ułożyć je w formę zbliżoną do wiersza przy maksymalnym zachowaniu znaczenia i ducha oryginału. Dużo było tekstów poetyckich, które mogliśmy przygotować, ale czas był ograniczony, więc ruszyliśmy zaledwie powierzchnię.”

Lawrence zakończyła pracę edytorską wierszy dostarczonych jej przez Andrzejewskiego i Musę i wzięła się za prozę. Niektóre opowiadania otrzymała w formie dokładnego przekładu również od nich. Te dosłowne wersje próbowała następnie oddać po angielsku dbając o zachowanie jak najwięcej dramatyzmu oryginału. Ponieważ inne opowiadania słyszała od Somalijszyków po somalijsku lub po angielsku, a więc niepełnie,

zostały one sparafrazowane, choć autorka zaręcza, że wiele z tonu i ducha udało jej się zachować. Skarżyła się przy tym że odkąd zabrakło Andrzejewskiego i Musy, nie było nikogo, kto by znał na tyle angielskiego, by dokładnie tłumaczyć.

Była zadowolona z rezultatów zorganizowanej pośpiesznie współpracy, gdyż ubolewając nad stratą pomocników, dodała: „Ale udało mi się, nim wyjechali, uzyskać dosłowne tłumaczenie wielu wierszy i opowiadań. Obecnie jestem w trakcie przetwarzania ich na , mam nadzieję, literacką angielszczyznę!” Wyjaśnia proces przekładania starając się zachować wierność i wstrzymać się od dodawania swoich wtrętów, zapewnia przy tym, że każde słowo dodane, wynika jakby z ducha utworu.

Pisząc do tej samej przyjaciółki 8 czerwca 1953 roku donosiła, że „Guś Andrzejewski ze Szkoły Nauk Orientalnych przysyła mi dalsze dosłowne przekłady wierszy, nad którymi pracuję. Bierze się teraz za bardziej złożone i długie somalijskie gabei, które będąc znakomite po somalijsku, są okropne dla tłumacza, by uzyskać rezultat w przybliżeniu podobny do oryginału. Cieszę się niemniej przeto, że nad nimi pracuję, tak dla samych utworów, jak dlatego, że utrzymują mnie na bieżąco w somalijskiej formie myślenia i wyrażania się.”

Choć publikując swoją pierwszą książkę Lawrence opatrzyła

ją podziękowaniem i jasnym stwierdzeniem, że „Te przekłady nie powstałyby bez szczodrej pomocy Musy Haji Ismaila Galaala oraz B.W.Andrzejewskiego, którzy dostarczyli mi dosłownych przekładów wierszy i tłumaczeń dokładnych opowiadań...” wyczuwam powstanie pewnego nieporozumienia między Andrzejewskim i Laurence. Różnica zdań mogła być wyniknąć z powodu pisowni oryginałów somalijskich. Prosiła o nie Laurence w liście z 21 lipca 1951 roku, kiedy Andrzejewscy pakowali się, by powrócić do Anglii. Nas zainteresują szczegóły warsztatu translatorskiego Kanadyjki.

„W związku z *balwo* na temat zębów dziewczyny przypominających kawałek białej kory, zauważcie, że dodałam linijkę niż było w somalijskim. Niemniej nie dodawałam niczego jeśli chodzi o znaczenie a jedynie dodałam frazę o drzewie *galol* oraz drobiazg o Zailah. Postąpiłam tak, gdyż a) kora pochodzi z drzewa *galol* i wydawało mi się bardziej jasne niejako. Jest ono w wierszu i tak implikowane; b) wers o perłach Zailah... Pamiętam, Sheilo, że gdyś o tym rozmawiała z Omarem, myślałaś że miał na myśli perły. Skoro więc one były w założeniu (I w rzeczy samej wypowiedziane) w wierszu, dodałam w Zeilah, myśląc, że pośrednio to było implikowane i dodało atmosferze wierności. To był trudny wiersz, bo po angielsku ludzie nie mówią o zębach kobiety, chyba że reklamując pastę do zębów. Dlatego czułam, że trzeba to zrobić bardziej egzotyczne nieco i osobliwe niż spotykamy zazwyczaj w poezji somalijskiej. Obraz byłby do

przyjęcia, gdyby stanowił część zupełnie innej kultury, ale nie gdyby oddać go w realiach zupełnie angielskich. Dlatego też użyłam 'Allah' zamiast 'Bóg'. Mam nadzieję, że się z tym zgodzicie, w każdym razie, będę z zainteresowaniem czekała na wasz komentarz i krytykę..."

List Laurence z Somalii datowany 22 kwietnia 1953 nawiązuje do poprzedniej korespondencji, w której były jakieś zgrzyty. Píše apologetycznie: „Ogromnie ubolewam, jeśli mój list był nieco opryskliwy. Tak na prawdę to, nie chciałam. Obawiam się, że zwykłam przesadnie bronić tego, co sama zrobiłam i w rezultacie mogę się wydać grubiańska. Gusi, szanuję Twoją radę. Doceniam z pewnością argument wzmiankowany w ostatnim liście o wielkiej wadze opinii publicznej w Twojej pracy i zupełnie się z nią zgadzam. Cieszę się, że jednak dostrzegasz mój punkt widzenia, jeśli idzie o tę szczególną książkę i jej zadanie. Tłumaczyłam panu Shirleyowi. Niemniej sprawę ortografii, który rozumie Twoje uczucie. Rzekł, że jest zdania, żeby wiersze somalijskie wydrukować bez somalijskich oryginałów. Jasno pojmował, że nie chciałbyś niczego drukować w Somalii, co by nie było w absolutnej zgodzie z nową ortografią. W związku z tym przeglądałam skrypt i sprawdziłam wszystkie nazwy szczepów i miejscowości pisząc je wedle starego systemu..."

Kanadyjka powodowana młodą ambicją i niecierpliwym

egotyzmem dążyła do szybkiego efektu, natomiast Guś, weteran kampanii libijskiej, niezupełnie uleczony z rany odniesionej pod Tobrukiem a jednocześnie subtelny poeta, który dopiero co wszedł na ścieżkę prawości badacza naukowego, dokładnego dbał o najwyższy respekt dla oryginału zarówno jako subtelny lingwista oraz prawdziwy poeta.

Dla niego najważniejsza była właściwa, nowa ortografia, skoro był jednym z jej twórców i propagatorów na cały kraj a jego wkład został oceniony przez władze, które nadały mu Order Gwiazdy Somalijskiej w 1988.

Przed laty Andrzejewski podarował mi egzemplarz przełożonej przez siebie na język angielski powieści somalijskiej „Ignorance is the Enemy of Love” (Ignorancja jest wrogiem miłości). W przedmowie do niej podkreśla on swoje kryteria dobrego przekładu. Obstaje przy wysokim stopniu wierności tekstu, zaręcza też, że nie pozwala sobie na niewskazane swobody nawet w miejscach, które mogłyby przyczynić się do łatwiejszego czytania przekładu, czy przybliżenia go do wyimaginowanego standardu oczekiwanego od powieści pisanej po angielsku. Szczególną troskę poświęcił zachowania obrazowania poezji, nie próbując imitować jej systemu aliteracyjnego, a tym bardziej układu rytmicznego. Jego zdaniem różnice między tymi językami skazywałyby takie próby na dziwaczne efekty i nałożyły niemożliwe restrykcje na dobór i

układ słów.

Kiedy w 1970 roku ukazał się reprint pierwszego wydania „A Tree For Poverty” z Nairobi z 1954, Margaret Laurence dodała nowy wstęp, w którym przypomniała, że przekłady powstały już w 1952 roku. „Sądzę, że gdybym wtedy rozumiała trudności przekładania literatury, nie podjąłabym się go. Ale człowiek młody i naiwny próbuje wszystkiego i może nie jest to takie złe. Te przekłady są amatorskie i od tamtego czasu powstały liczne inne przekłady literatury somalijskiej, o wiele bardziej naukowe i bardziej dokładne niż te. (Wiele tych późniejszych przekładów dokonał dr B.W.Andrzejewski ze Szkoły Nauk Orientalnych i Afrykańskich w Londynie, który jako młody lingwista zaczynający studia w Somalii, był jednym z moich współpracowników a dziś jest czołowym autorytetem w materii języka i literatury somalijskiej).”

Dla mnie te słowa brzmią jak apologia za niecierpliwe i pochopne pociągnięcia młodej Laurence, żadnej pierwszych sukcesów pisarskich, nie rozumiejącej ostrożności i respektu dla dociekań naukowych oraz szlachetności charakteru utalentowanego polskiego współpracownika. Pewną satysfakcję mogła jej przynieść antologia „The Penguin Book of Oral Poetry”, (London 1978), która dając kilkanaście przekładów B.W.Andrzejewskiego, umieściła również cztery wersje M.Laurence z „A Tree for Poverty”.

Zapewne polski czytelnik zauważy niepewność polskiej faktografii zarówno w wypowiedziach Margaret Laurence, jak u jej biografa, Jamesa Kinga. Wnioskuje, że Laurence nie знаła dokładnie przejść Andrzejewskiego, inaczej wspomniała by jego kampanię pod Tobrukiem, a także pobyt w Palestynie. Wolne Polskie Siły Zbrojne bardziej pachną wiadomościami o Francuzach.

Pojawienie się Andrzejewskiego w polskiej prasie na Zachodzie pomyłono z drukowaniem w Polsce. Autor zresztą, tylko rzadko drukujący w paryskiej „Kulturze” i londyńskich „Wiadomościach” pozostał pisarzem niedocenionym mimo zdobycia w 1970 roku nagrody „Wiadomości” i nagrody Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie oraz wydaniu dwu zbiorów poezji „Na wszelki wypadek” (Londyn 1952) oraz „Podróż do krajów legendarnych” (Londyn 1986). Ta ostatnia pozycja ukazała się również w Polsce w 2000 roku (Agawa) ze szkicami o autorze Czesława Miłosza i Jerzego Pietrkiewicza.

Miłosz napisał o nim:

„Uważam go za jednego z poetów znaczących, lepszych niż niejedna postać o głośnym nazwisku, mająca swoje monografie i wydania dzieł zebranych. Na szczęście dla siebie nie bardzo troszczył się o laury i ubawiłoby go chyba, gdyby usłyszał, że ktoś chce go umieścić w świątyni sław naszego stulecia. Pisał

wiersze dla własnej przyjemności, w chwilach wolnych od zajęć, by tak rzec, poważniejszych...”

Bogumił Witalis Andrzejewski zmarł w Anglii w 1994 roku nie doczekawszy się spełnienia marzeń, by kłusować na wielbłądzie w ceremonialnej uprzęży Alejami Jerozolimskimi w Warszawie. Somalia zawdzięcza mu uporządkowany nowoczesny język, alfabet i zasady ortografii.

Pierwodruk: „Przegląd Polski”, dodatek do „Nowego Dziennika”, luty 2012 r. Tekst ukazał się pod tytułem „Somalijskie koneksje”.



Transformator obciążony



Bogumił Witalis Andrzejewski z żoną Sheilą

Florian Śmieja

**Bogumił Witalis Andrzejewski bawi się prądem
elektrycznym**

Przed laty poeci awangardy z wielką euforią odwróciwszy się od sielankowego krajobrazu dawnej poezji, jako od obmierzłych staroci, zaczęli zamiast wsi urokliwej do swoich wierszy pakować miasto i wszelkie jego atrybuty nowoczesności i postępu. Odstawiwszy konia i rumaka polubili automobil i aeroplan. Fascynacja mechaniką kazała im na piedestał postawić maszynę, jako wielkie osiągnięcie ludzkiego umysłu, wyręczycielkę od nadmiernego wysiłku, monotonnych ruchów i wielokrotnych powtórzeń, jako skuteczną wybawicielkę od mozolnych obowiązków. Ta przydatność wydała się piękna, przygoda konstruktorów udzieliła się literatom, poeci zaczęli ją brać za obiekt kontemplacji i przedmiot swoich kompozycji.

Nieraz dzieje się to z małą domieszką humoru. i tak Bogumił Witalis Andrzejewski (1922-94) zmarły w Anglii afrykanista i poeta, przypomina niedawne jeszcze sposoby ogrzewania naszych domów gazem dostarczonym przez automaty przyjmujące monety. Zanotował dla potomności, jak to w Anglii:

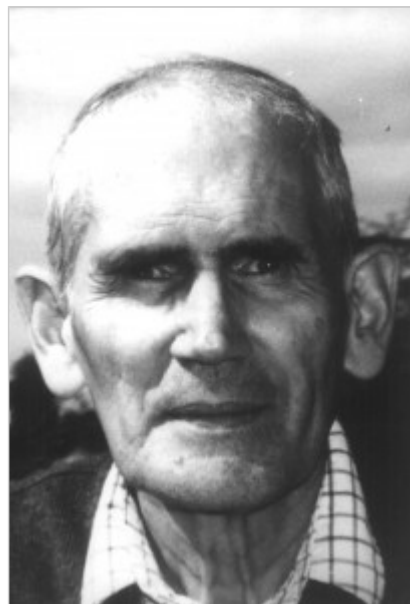
Gazomierzowi ze zmartwienia

Szyling stanął w gardle

Ten poeta akurat miał większe jeszcze nabożeństwo do maszyn i przyrządów wyimaginowanych jak np. *marzeniomierz* czy *marzelnia*, których był oryginalnym wynalazcą i użytkownikiem.

Zauroczył go też prąd elektryczny. To on kazał zagorzałemu humaniście i onomaście poświęcić wiele znoju i nabyć fachową wiedzę naukową z dziedziny elektryczności oraz włączyć ją do swojego poetyckiego sztafażu.

Nie zdziwi nas więc szczegół, że w tropikalnym klimacie Kamelopardii najśluszniej zamontowano w pancerzach „*elektryczny obwód ochładzający*”.



Bogumił Witalis
Andrzejewski

Gdzie indziej „ścieżka elektryczna łączy odludzie”, a

(klechdy mówią)

o woltomierzu nagrobku

martwą głoszącym wskazówką

równowagę śmiertelną

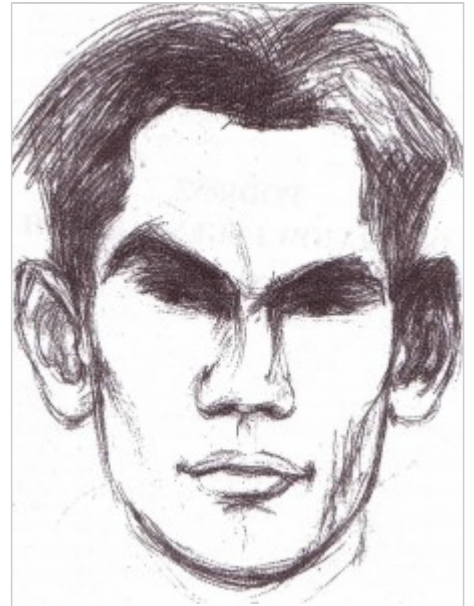
różnoimiennych sił

Ładnie nazwany „*galwaniec elekroliz jest zlizywaczem/ miodów z szlachetnych metali*”.

Jest mowa o stacjach nadawczych, o napięciu, o przełączniku. Dziewczynom „*w elektrostatyce /żarzą się w oczach figlarne druciki/ naładowane bardzo dodatnio*”.

Policjant to „*bezpiecznik w ulic obwodzie przeciwko żarom/ zbyt wielkich napięć zatknięty*”.

Jest też sposób, by pozbyć się uciążliwych dolegliwości:



Bogumił Witalis
Andrzejewski,
karykatura,
Krystyna Sadowska
1944 r.

...suma jarząca (latań)

wróci myślom przewodność

jaźni utracona drożność

Poeta podpatrzył dziwy:

w prądnicy nerwów

zwoje ogromne

przekładnie, zasuwy i rygle.

Tak jak tramwaje potrzebują mocy, by powrócić do zajezdni, tak człowiek musi mieć energię, by przeżyć dzień:

mocy trzeba

na wyrób prac powszednich

żeby każdy dzień trudny

pod wieczorną remizę przytoczyć.

Wymagana jest ostrożność, bo lada chwila może nastąpić krótkie

spięcie, wybuch i pożar, zastój. Dlaczego? Bo

w tunelu milczy

obciążony transformator

Choć poeta rozsiał w swoich wierszach cały słownik pojęć związanych z elektrycznością, ale w jednym utworze dał skoncentrowany asortyment, aby przestrzec młodych przed pochopną rozrzutnością, a zachęcić do oszczędzania prądu:

PRZESTROGA MŁODYM

kiedy był młody

latał jak głupi

od anody do katody

energię podbierał

z prądnic i baterii

ażeby mieć fundusze

na różne fanaberie

na pola magnesowe

chadzał jak na stronę

i skakał i pląsał

jak rubaszny jonek

reguła lewej ręki

była jemu prawem

w ten sposób pragnął zdobyć

pieniądze i sławę

*żał mu dziś tego bardzo
że tak żwawo fikał
bo burczy mu w przewodach
i po zwojach strzyka
i teraz ku starości
musi siedzieć w domu
bo prądu ma za mało
a za dużo ohmów*

Tym dowcipnym wierszem z tomiku „*Na wszelki wypadek*”(1952) zamykam temat elektryczności i zapraszam do samodzielnego uraczenia się Andrzejewskiego egzotyczną „*Podróżą do krajów legendarnych*” (1985, 2000).

Artykuł ukazał się w „Liście oceanicznym”, dodatku kulturalnym

„Gazety” z Toronto, w styczniu 2005 r.

W kawiarni, gdzie niegdyś grano jazz



Cafe Neringa w Wilnie

Czas wchodzi do Wilna poprzez drzwi kawiarni.

Brodski "Café Neringa".

Romuald Mieczkowski

Przelewa się wciąż ta sama fontanna w foyer „Neringi”. Od lat nie zmienił się wystrój wnętrz. Dwie sale. Ten sam przeszklony sufit, na ścianach pseudoludowe freski z drewnianą boazerią, trochę wygodniejsze krzesła. Na scenie fortepian. Dawni bywalcy restauracji, którzy dziś przypadkowo tu zawędrują w poszukiwaniu swej młodości, mają wrażenie, że za chwile wyjdzie Ganelin, żeby w towarzystwie swego tria pograć standardy jazzowe. Jego popisy okłaskiwać będzie Venclova, przebywający gościnnie w Wilnie akurat Brodski, a wraz z nimi cała ta pstra cyganeria, która stale dawała drobne łapówki odźwiernym, żeby tu trafić...

Wspominam atmosferę sprzed trzydziestu lat, kiedy zacząłem preferować to miejsce nad innymi, jak ubiegaliśmy się o względy „cerbera” albo inaczej „bramkarza”, dając mu składkowego rubla – w nadziei, że zaliczy nas w poczet stałych bywalców – abyśmy jako wybrani, szpanując, mogli przejść przez szpaler oczekujących w kolejce w duszne i słotne wieczory na wejście, jako część owej cyganerii, która zostanie uczestnikami i

świadcami kawiarnianego spektaklu, a potem będzie szczyścić się, kogo akurat poznała.

A poznałem tu niemało osób – dziennikarzy, dzisiejszych asów i całkiem zapomnianych, pisarzy i poetów, malarzy, muzyków, niedocenionych artystów i prawdziwe sławy. Jest to jednak temat na inną opowieść. Często taka znajomość kosztowała, bo wypadało fundnąć ze stypendium, a potem ze skromnej pensji, ale jakoś starczyło na kolejne przyjście...

A więc grano tu jazz. Przy stolikach – faceci, dziwacznie jak na tamte ponure czasy ubrani, długowłosi, w swych pierwszych dżinsach marki „Odra”, szczęśliwcy w firmowych, najczęściej też *via* Polska, w skórzanych kurtkach i w żółtych lub czerwonych skarpetkach, ale i o wyglądzie poważnych profesorów, w garniturach i przy krawatach, choć byli też – rzecz nie do pomyślenia – światowcy w apaszkach! Intelktualistki (czy takie w ogóle chodziły do kawiarni?) i śmiejące się studentki artystycznych uczelni w minispódniczkach, te „jazzowe” – też w dżinsach. Nie tańczono tu, chyba przy szczególnych okazjach, gdy w głowie szumiało wino...

Kuchnia była tu tradycyjnie dobra. Podobno od samych początków, kiedy w końcu lat pięćdziesiątych, w dobie „odwilży”, zbudowano pierwszy w mieście po wojnie współczesny gmach hotelu i kawiarni. Firmowym daniem „Neringi” były kotlety „po

kijowsku”, coś w rodzaju *de volaille* z drobiu w tłuszczu. Nikt nie wie, dlaczego nazwano je „po kijowsku”, ale taki jadłospis był zatwierdzony na cały Sojuz, z tym, że gdzie indziej z braku surowca przeważały pierożki z kapustą. Popularnością cieszyła się sałatka „stołeczna”. Ta nazwa była nieporozumieniem. Kiedy z jakiejś okazji zaprowadziłem tu rodziców, powiedzieli – jakaż ona „stołeczna”, to zwykła, domowa, tylko gorsza i bardziej „upiększona” sałatka, z kawałeczkami kielbasy, gotowanymi ziemniakami „w mundurach”, a wszystko pokrajane w kwadraciki, plus inne niewymyślne socjalistyczne dodatki. Ale sałatka ta miała powodzenie: była tania.

Piło się w „Nerindze” raczej wytrawne trunki, wszak była to „inteligencka” knajpa – głównie wina i koniaki. Prócz mołdawskich i z republik sowieckiego Zakaukazia węgierską – „byczą” i „niedźwiedzią krew”, ale i rizlingi, były delikatne słodkie wina rumuńskie, popularnością cieszyła się bułgarska „Gamza”. Był czas, że nie podawano jej w butelkach – okrągłych bańkach, lecz „dla podniesienia kultury picia” w kieliszkach, jeśli się nie mylę – po 38 kopiejek za setkę. Dla wygody towarzystwo zamawiało od razu z dwadzieścia-trzydzieści kolejek... Kelner był wielkim panem, ciągle go trzeba było nagabywać, łapać, kiedy prześlizgiwał się między stolikami, a on ciągle udawał, że nie widzi gości. Prawda, w „Nerindze” pracowały kelnerki, większość których znaliśmy po imieniu. Wśród bułgarskich win było też „Caberne” z goryczą korka... Kto wolał coś

mocniejszego, zamawiał rum kubański. Były „etapy” egipskiej anyżówki, arabskich rumów, portugalskiego porta. Szampan raczej sowiecki, wódka – na dalszym planie i raczej wytrawna, choć kto chciał „pod śledzika” napić się czystej, zawsze ją dostał.

Fortepian przywołuje wspomnienia, a tymczasem z taśmy dolatują dźwięki jakiejś orkiestry – może Paula Mauriata, może Jamesa Lasta. Sentymentalne i wiecznie zielone przeboje, wyłapuję z tego „Strangers in The Night”, „Spanish Eyes”, „Love Me Tender”. Są „Parasolki z Cherbourg”, „Love Story”. Muzyczka płynie dyskretnie, jak przelewająca się w głębi fontanna, można sobie pogadać. Jadłospis dziś znacznie grubszy niż kiedyś, ale z dawnych potraw niewiele, chyba tylko „karbonat” czyli kotlet schabowy. Niektóre nazwy stały się politycznie niepoprawne, próżno więc prosić o dawny kotlet po kijowsku, wódkę moskiewską czy szaszłyk gruziński. Dla gościa z Ameryki z potraw lokalnych zamawiam chłodnik i cepeliny.

Jest ich nie za wiele. Przeważają raczej „wszędobylskie” dania jak befsztyk i *boeuf Stroganov*, dużo zagranicznych nazw, z których trudno się zorientować, co się pod nimi kryje. Na deser – truskawki w cukrze, lodów zabrakło. Aż 60 porcji pochłonęła tuż przed nami grupa młodych ludzi z Danii.

Potrawy smakowały gościowi, dawnemu wilniukowi, który w międzyczasie wspominał przedwojenną gastronomię Wilna.

„Tylko jakoś tu smutno” – zauważył. Rzeczywiście, światła mało, wszyscy tacy poważni, nawet młodzi ludzie, za sąsiednim stołem chłopak z dziewczyną, obydwójce jak „ziemię sprzedawczy”. Gość przywołał wspomnienia, jak to bywało wesoło w „Zaciszu”, „Strallu” – Białym, Zielonym i Czerwonym, co się działo w „Literackiej”. Ja przywołałem swoje wspomnienia odległe o pokolenie. Przytaknąłem – rzeczywiście, nie jest wesoło.

A „Neringa” znalazła kolejne swe wcielenie – jako część składowa „Scandic Hotelu”.



Cafe Neringa w Wilnie

Artykuł opublikowany w „Liście oceanicznym”, dodatku

kulturalnym „Gazety” z Toronto w 2004 r.

Uczeń Stanisławskiego



University College Cork – National University of Ireland, Cork,
fot. Denis LeGourriec

Florian Smieja

Irlandię odkryłem w kilka lat po zakończeniu drugiej wojny światowej. I, jak to często w życiu się zdarza, był to czysty

przypadek.

Wraz z innymi polskimi kombatantami, którzy znaleźli się na Wyspach Brytyjskich, starałem się uzupełnić swoje wykształcenie. Najpierw udało mi się zapisać na kurs gimnazjalny prowadzący do małej matury.

Nie przyszło mi wcale tak łatwo dostać się na ten kurs, gdyż służąc w Sekcji Badań Przydatności przy ośrodku szkolącym załogi pancernych pojazdów, stałem się, mimo kończących się działań wojennych w Europie, niezbędny. Miałem ładne pismo i odręcznie prowadziłem ewidencję badanych w książce, która przeznaczona była do muzeum. Przełożeni ani myśleli, by pozbyć się pracownika, do którego przywykli. A to, że starszy strzelec miał ambicję kończyć gimnazjum, a równocześnie bronił się przed pójściem na podchorążówkę, to dowódcę nie przejmowało w najmniejszym stopniu. Nic więc dziwnego, że kiedy nadszedł telegram informujący o przyjęciu na kurs, kierownik po prostu pisma nie doręczył. Na szczęście, powiedział mi o tym kolega pracujący na poczcie. Interweniowałem natychmiast u oficera oświatowego, przekonałem go i do Szkocji pojechałem.

W małej miejscowości w dawnej fabryce zakwaterowano ochotników, którzy ukończyli co najmniej dwie klasy gimnazjum przed wojną i w przyspieszonym tempie przygotowywali się do zdawania małej matury.

Tymczasem skończyła się wojna i ze świadectwem ukończenia gimnazjum można się było starać o miejsce w liceum, kiedy perypatetyczne gimnazjum i liceum im. Juliusza Słowackiego założone w Glasgowie a potem przeniesione do Crieff po kilkuletnim pobycie tam rozpoczynało rok szkolny w Bridge of Allan koło Stirling. Kilkuset byłych polskich żołnierzy, lotników i marynarzy z dodatkiem garstki cywilów zaczęło z ufnością i wielkim zapałem naukę w byłym obozie wojskowym. Korzystając z pomocy znakomitych i entuzjastycznych nauczycieli, próbowaliśmy nadgonić stracony czas. W miarę jak Brytyjczycy likwidowali obozy, by wrócić właścicielom zarekwirowane tereny, trzeba się było przenosić dalej, zazwyczaj na północ. Wylądowaliśmy w końcu w odległym Garelochhead na wzgórzach okalających zatokę, w której stały wielkie okręty Royal Navy. Opuszczone przez marynarzy tzw. beczki śmiechu stały się naszym kolejnym domem.

Tam, w rojnej i dynamicznej społeczności szkolnej doczekałem się egzaminu dojrzałości. Obóz oferował rzadkie na one czasy atrakcje w postaci odczytów, wieczorków literackich, gazetkę obozową a nawet ambitne wystawienie komedii „Dożywocie” Aleksandra Fredry.

Potem ze świadectwem w rękę ruszyliśmy w świat. No, nie zupełnie. Trzeba było rozglądać się za jakimś praktycznym zawodem. Kolega pochodzący z mojej wsi był piekarzem i

cukiernikiem więc wnet znalazł pracę i wyjechał do Londynu. W liceum próbowałem naprawiać zegarki, ale to była zabawa raczej niż poważne zajęcie. Zapisalem się więc na kurs dla rybaków dalekomorskich, bo nęciła obiecwana dobra płaca, która rokowała nadzieje na oszczędzenie pieniędzy na studia wyższe. Kursu nie ukończyłem, bo po kilku dniach w obozie w Aberdeen, zostałem powołany do Irlandii.

Dostać się na uniwersytet brytyjski nie było łatwo, gdyż uniwersytetów było niewiele a po zakończeniu działań wojennych garnęły się do nich rzesze Brytyjczyków wracających do cywila z wszystkich teatrów wojny. Ponadto, studia humanistyczne, które były dla mnie najbardziej atrakcyjne, nie były dla cudzoziemców pragnących się osiedlić w Zjednoczonym Królestwie. Praktyczni Brytyjczycy założyli Polish University College przy Uniwersytecie Londyńskim, aby pewną ilość Polaków wykształcić na inżynierów i ewentualnie ekonomistów. Ten kierunek handlowy był jakby najbliższy humanistyce i stanąłem do egzaminu konkursowego. Moja siedemnasta lokata nie wystarczyła jednak, by się zakwalifikować. Okazało się, że byli równiejsi ode mnie, ja byłem młody, mogłem poczekać.

Chodziłem po Londynie szukając innych możliwości studiowania. Funkcjonowało wtedy jakieś polskie biuro, które dysponowało kwestionariuszami ankiet przeprowadzanych wcześniej w różnych szkołach i obozach. Pamiętam, jak stroiliśmy sobie żarty

z tego rodzaju badań i na pytania z towarzyszącymi sugerowanymi odpowiedziami wybieraliśmy najbardziej nieprawdopodobną i śmieszną. Nie mogłem liczyć na poważne szanse w takich instytucjach.

Istniała także polska katolicka organizacja Veritas. Jednym z jej celów było pomaganie ludziom, którzy chcieli studiować humanistykę. W porozumieniu z zainteresowanymi uniwersytetami irlandzkimi kwalifikowali oni kandydatów, którzy uzyskując miejsce w uczelni otrzymywali bez trudu brytyjskie stypendium dla byłych wojskowych. Moje świeże świadectwo z bardzo dobrą oceną z języka łacińskiego sprawiło, że dostałem się na listę studentów obiecawszy, że oprócz łaciny wezmę także grekę. Słowa dotrzymałem.

Trzy lata spędzone w południowej Irlandii w mieście Cork były okresem spokojnych, przyjemnych studiów. Mała uczelnia, prowincjonalne miasto, sąsiedzkie stosunki z przychylną ludnością ` pozwoliły grupie byłych żołnierzy odetchnąć i zyskać dyplomy, które pomogły czy nawet umożliwiły później otrzymanie godziwego zatrudnienia w obranej specjalności.

W odległej i izolowanej przez wojnę Irlandii stanowiliśmy egzotyczną i atrakcyjną grupę. Starsi od zwyczajnych studentów, obieżyświaty z doświadczeniem wojennym wśród zielonej lokalnej młodzieży, cieszyliśmy się zainteresowaniem środowiska

i mieszkańców miasta, które okazało nam wiele życzliwości i pomocy. Byliśmy zapraszani do domów i instytucji, kwitła przyjaźń polsko-irlandzka. W naszym polskim domu gościliśmy chętnie szczerych przyjaciół, wśród których był kapitalny ksiądz Murphy, brat Łata, dobry człowiek i nadzwyczajny gawędziarz.

Pamiętam jeden z jego kawałów ilustrujących irlandzką specyfikę. W ciemnej uliczce rabuś zatrzymał mężczyznę. Kiedy ofiara odpięła płaszcz, by sięgnąć po portfel, złodziej zobaczył księżowską koloratkę i zaczął przeproszać, że nie wiedział, kogo zatrzymuje. Ksiądz sięgnął z kolei po cygaro, by je opryszkowi zaofiarować. Ten jednak odmówił przyjęcia tłumacząc, że jest post a on w czasie postu nie pali. Tyle kawał. Ten miły ksiądz słynął z dobrego serca i ludzie chodzili do niego po wszystko. Raz zjawił się mężczyzna prosząc go o buty. Ksiądz tłumaczył się, że jedyne buty, które posiadał były te, które miał na nogach. Przybysz spojrział na nie i powiedział, że te mogą być.

Niektórzy Irlandczycy zaczęli nawet przyglądać się bliżej językowi polskiemu, kilka osób zaczęło brać lekcje prywatne, aby pokazać, że Polacy nie są im obojętni.

Wśród nich znalazł się młody chłopak o imieniu Terry. Ciekawili go i imponowali mu obcy przybysze i ich osobliwy, szeleszczący język. Potrafił się godzinami przysłuchiwać jego dźwiękowi i nieraz zafascynowany stał albo siedział w pobliżu Polaków

rozmawiających z sobą. Często przepędzaliśmy go darząc z żartów przeróżnymi epitetami, których on się w lot nauczył i powtarzał je ku konsternacji polskich studentek, które się także w Cork pojawiły.

Terry zaopatrzył się w podręcznik do nauki polskiego dla Szkotek napisany przez J.A.Teslara i wyuczył się z niego wielce pomocnego w konwersacji zdania ‘ Ordynans daje pić karemu koniowi pana pułkownika’. Po czasie nabył też słownik Jana Stanisławskiego, drukowany w Wielkiej Brytanii przez Minerva Publishing Co.Ltd. w Londynie w 1940 roku, który stał się dla niego pasjonującą lekturą.

Wtedy mógł zaskakiwać nas raz po raz nowo nauczonymi słowami i zwrotami.

Gościł często w naszej bursie położonej nad kanałem niedaleko uniwersytetu. Lubił polskie dania i uwielbiał kluski. Wtedy prosił kredencera o podlewę. Po burzliwej nocy pytał nas, czyśmy słyszeli gromobicie . Raz kiedy szukaliśmy korkociągu, by otworzyć butelkę wina, Terry z wiecznie uśmiechniętą miną sięgnął do kieszeni i wręczając go nam oświadczył, jak na dobrego ucznia Stanisławskiego przystało: „Ot grajcarek. Kupiłem go niedawno u lokalnego żelaznika”. A kiedy indziej tłumaczył spóźnienie tym, że miał pogwarek ze swoja lubownicą, która mu ciągle stroiła firleje, bo zamiast pójść wreszcie z kotką

do konowała, wolała odwiedzić swoją kabalarkę.

Z entuzjazmem opowiadał nam o postępach w języku polskim i wiedzy o naszej kulturze i przeszłości. Czytał więc o gwiazdździarzu Koperniku, znał książkę angielskiego autora o komponiście Chopinie, słyszał o statyście Mikołajczyku a nawet o gazeciarzu Mieroszewskim. Kiedy któryś z naszych studentów chciał zapalić papierosa, Terry z miejsca oferował swoje siarniczki. Jeżeli przychodził do naszego domu w czasie dnia, pytał czyśmy już zjedli podkurek, czy nie zjawiając się o takiej porze nie robi jakiej pochyby. Chwalił się, że akurat pocztarz przyniósł mu list z kontrefektem przyjaciela, który był w Londynie templariuszem, ale miał wkrótce już swoje studia skończyć i nareszcie zarabiać przyzwoity prowent, bo źmindackie stypendium mu się sprzykrzyło.

Terry miał niewątpliwy talent do języków i został w końcu profesorem romanistyki. Jest nadal przystępny i jego kopystka chętnie was z nim umówi na komeraże.

Terminowanie u Stanisławskiego nie poszło na marne.



prof. Florian Ludwik Śmieja, specjalność: iberystyka, wyjechał z Polski w 1943. Studia: University College Cork, National University of Ireland (Bachelor of Arts 1950); King's College, University of London (Master of Arts 1955, Doctor of Philosophy 1962). University of London: School of Slavonic and East European Studies 1950-54 (asystent), School of Economics 1958-63 (asystent 1958-60, doc. 1960-63); University of Nottingham 1963-69 (doc.); University of Western Ontario w London, Kanada 1969- (gościnny prof. nadzwyczajny 1969-70, wielokrotny kier. Zakładu Iberystyki 1970-91, prof. 1970-91, Professor Emeritus 1991); prof. gościnny na Uniwersytecie Jagiellońskim 1974, Wrocławskim, Opolskim, Ostrawskim i Wileńskim 1991-. Publikacje: edycje 3 sztuk hiszpańskiego Złotego Wieku; kilkadziesiąt artykułów naukowych m.in. w: „Slavonic Review”, „Queens Slavic Papers”, „Modern Language Review”, „Philological Quarterly”, „Bulletin of Hispanic Studies”, „Revista de Literatura”, „Hispanófila”, „Hispanic Review”, „Estudios Segovianos”, „Archivo Hispalense”, „Estudios”, „Revista Canadiense de Estudios Hispánicos”, „Kwartalnik Neofilologiczny”, „Pamiętnik Literacki”. Tomiki poezji: *Czuwanie u drzwi* 1953, *Powikłane ścieżki* 1964, *Kopa wierszy* 1981,

Wiersze 1982, Jeszcze wiersze 1984, Przezorność czasu 1992, Ziemie utracone 1994, Mały wybór wierszy 1994, Wśród swoich 1998, Wiersze wybrane 1998, Niepamiętanie 1999; wiersze w antologiach i opracowaniach. Przekłady poezji, prozy i sztuk hiszpańskich.

Jan Stanisławski (1893 – 1973), anglista, leksykograf; 1928-39 i 1945-58, lektor języka angielskiego na Uniwersytecie Jagiellońskim. W 1939 roku wywieziony do Sachsenhausen-Oranienburga. Po powrocie do Krakowa brał udział w tajnym nauczaniu uniwersyteckim. Wydał podręczniki, m.in. Gramatyka języka angielskiego (t. 1-2 1950-51), Wielki Słownik Angielsko-Polski i Polsko-Angielski, wydany w Londynie w 1940 roku (przyp. red. na podstawie Encyklopedii Powszechnej PWN).

Artykuł opublikowany w „Liście oceanicznym”, dodatku kulturalnym „Gazety” w Toronto, styczeń 2003 r.

O dwóch książkach Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm



Aleksandra Ziolkowska-Boehm w swoim domu w Wilmington, w stanie Delaware.

Korespondencja Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm
z Szymonem Kobylińskim na temat autobiograficznej książki
Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm pt. "Ulica Żółwiego
Strumienia" zawarta w książce „Nie minęło nic prócz lat”.

Wieś Gniazdowo, 17 maja 1995 r.

Oleńko Boehmiła!

No i otóż to właśnie! Nareszcie książka [ULICA ŻÓŁWIEGO STRUMIENIA] prawdziwie oleńkocentryczna, gdzie mamy co prawda, jak Pan Bóg przykazał, realiów światowych mrowie, ale oglądamy je nie w spisie, dokonanym przez jakąś bliżej nie rozpoznawalną panią, ale w opowieściach konkretnej Oleńki, tej ze wzmiankowanego miasta Łodzi.

Inna sprawa, że jest to w istocie książka bardziej t o m k o c e n t r y c z n a, bo zaprawdę Kwiczoł jest tu, jakże słusznie, najpozytywniejszym bohaterem, odnośnikiem wszelkich wartości, miernikiem zdarzeń, trafnie dobranym ośrodkiem uczuciowym i emocjonalnym. Tak – by the way – czemu nie ma informacji, że był Kwiczołem, nie rozumiem, skoro to rubaszna, jakby dobrotliwym basem mówiona pieszczota słowna, świetnie ukazywała sytuacje w panamelchiorowym domu. I chyba dobranie epitetu też coś mówiło, skoro wszelkie drozdy, w tym

paszkoty, kwiczoły etc. – są ptaszkami ogromnie rozrywkowymi, wesolutkimi, pełnymi uroku, żwawości i wdzięku. Potraktowane zaś myśliwsko, co mi jest osobiście jak najbardziej obce, są też wyjątkowo smaczne... Co stwierdzam ze smutkiem nad takim losem ptasząt, ale obiektywności gwoili.

Tomek się jawi przede wszystkim d o b r y, a to komplement najszczytowszy z możliwych, zwłaszcza dziś, a ponadto od małego mądry życiowo i sercowo. Jego zgorszenie, iż babcia mogła posądzać o coś tak błahego, jak zachwycenie dziewczęcym fartuszkim, gdy w istocie zafascynowały malca OCZY koleżanki, ta migaweczka nad wyraz wymowna. I fakt, że to powiedział, korygując przodkinię...

Zarazem jego losy, rozpostarte po mnóstwie krain i szkół, jednak zaliczanych „w cuglach”, są świetnym leitmotivem całej narracji. Coś rośnie i dojrzewa z tym chłopakiem, coś się spełnia i czyni coraz bogatszym duchowo.

W ogóle okazuje się, że jesteś wyraźnie i magnesem, i katalizatorem ludzkiej dobroci. Postać Mister Normana to kolejny przykład tych zdolności przyciągania osób spolegliwych życiowo, których tak wiele widnieje w spisie Twoich przyjaciół. To „lubię przyjaciół”, arcy mądre i uniwersalne motto międzyludzkich, pozytywnych związków, doskonale rzecz oddaje. A przy okazji pochlebia nam, których liczysz do grona ludzi,

obdarzony przez Ciebie życzliwością.

Okazało się w tej mierze, iż i sam wielki Tatarkiewicz, największy przecież ekspert od szczęścia, miał to samo o Tobie zdanie, jakie ja swego czasu wyłożyłem Kąkolewskiemu, gdy dumał głośno o Twojej pozycji w dziele Wańkowicza. Wręcz namawiałem p. Krzysztofa, by to opisywał, gdyż relacja o niuansach więzi między najrozmaitszymi bliźniami jest jego stałym tematem. I nic jeszcze o poglądzie Tatarkiewicza nie wiedząc (bom to poznał dopiero teraz z ULICY ŻÓŁWIEGO STRUMIENIA) instygowałem człeka do ukazania portretu mistrza Melchiora, jako Duszy Niespodzianej, zaskoczonej czymś, czego nie praktykował, czego emocjonalnie nie znał – przyłapanego na kapitulacji przed Dobrocią... To mu się nie zdarzało przez całe długie, twardą skorupą opancerzone życie bezlitosnego obserwatora. Umiał wzruszać jak mało który pisarz, ale sam nie wzruszał się nigdy, nie ulegał tej, jakby to określić – tej s ł a b o ś c i. Taki był zresztą wymóg jego precyzyjnie obmyślanego warsztatu, zimnego skalpela i chłodnego, lodowatego szkiełka badacza. Ignorował – niczym tę starszą panią, co chciała mu przypomnieć, że była dziewczęciem z Kalużyc – wszystko zbędne w fiszkach, notatkach. w tworzywie wszelakich „karafek LaFontaine’a” I oto nagle, tuż przed odejściem, tuż przed definitywnym a d i e u – trafia go, trafia mu się niespodzianka ... uczuć? Nie, to nie celne określenie. Raczej: – odczuć. Nowego typu wrażliwości, nowej relacji w bezinteresownej sferze,

dotychczas mu obcej, w sferze Dobroci właśnie. On nie wiedział, co z tym zrobić, jak to przeżywać, „czym to się je”, gdy się samemu ulega napływowi serdeczności, jakże dalekiej wprzódzi, jak bardzo przezeń nie używanej! Kąkolewski słuchał tego wszystkiego skulony i zaskoczony, a potem wybąkał coś w rodzaju: „Nie podejmuję się... Nie wezmę tego...” – ale nie przeczył mi wcale. Przeciwnie, zdał się zaskoczony oczywistością tego właśnie, co Tatarkiewicz – jak się okazuje – już dawno ujrzał okiem wszechwiedzy.

Twoja książka i ukazuje, i podkreśla tę bezinteresowność działań w dobroci, Tomkiem ukoronowanej. I zjawienie się teraz obok Ciebie człowieka, który na tle rozmaitych znajomek literackich, środowiskowych, naukowych etc., zda się jakby przyciszony – jednakże jest żywym wcieleniem spolegliwości i czułości, to zjawienie się (bardzo czytelne w narracji) jest walnym i ważkim morałem z lektury. Całkowite pominięcie dyrektora samochodowego także należy do kompozycji, do chwytów warsztatowych – lecz chwytów dyktowanych nie tamtą zmarzliną pióra, ale samym życiem – i biograficzna luka w miejscu (regularnego przecież i wyraźnego) męża „po drodze”, jest luką literacko znaczącą. Tak odrzuca się któryś kolor, malując w skupieniu obraz tym Twojej intuicji, a ile zamiaru, nie wiem do końca; – mówię o efekcie czytelniczym. Inna sprawa, że czytelnik nie znający ściśle realiów Twego curriculum vitae, bodaj w takim stopniu ścisłości, jak my, czytelnik taki nie będzie wiedział, iż

coś, czy raczej kogoś tu pominęto. Nie szkodzi, wystarczy, że otrzymuje zamkniętą, konsekwentną całość, niejako oprawę tego klejnociku, jakim jest Tomek... A z czego ta oprawa zrobiona? Jakie ingrediencje stopu są, a z jakich zrezygnowano, to mniej ważne. Znając dokumentację Wańkowicza od podszewki wiesz, ile elementów, pozornie znaczących, odrzucał, skreślał i ignorował. Znów – jak tamto spotkanie znajomej z lat chłopięctwa. Zbędna była do bieżącej roboty i już.

Tak przepadł zatem i dyrektor z FSO.

No, nachwaliłem się Ciebie potężnie, teraz czas na głos starego zrządy, bezzerwisera i wtykacza trzech groszy. Czerwonym zasię ołóweczkiem przyszpiliłem dziewięć punktów, które mi nie pasują do całości książki. Wpierw jednak zaznaczę, jak to czynię w podobnych okazjach, że tekstów mi obojętnych się nie czepiam, „wiszą mi zwiędłym kalafiolem” i nic autorom nie mówię. Tylko wobec obiektów mej życzliwości pozwalam sobie powybrzydzać i nosem pokręcić. Tak i teraz.

str. 60. – Przed domem rosła rozłożysta, ogromna b r z o z a. Skoro zaś brzoza, to skąd na niej bazie, i to w dodatku na Zielone świątki?!? Bazie ma wierzba, ale na Zielone świątki daaawno już są nie aktualne! Co to więc było za drzewo?

str. 102 – To wcale nie Skaldowie śpiewali „Za rok matura”;

rzecz nie jest absolutnie w ich stylu. To chyba któreś Gitary, Czerwone lub Niebieskie, ale przenigdy Skaldowie.

str. 177. – Literówka, istotna nazwiskowo – zamiast Koziół powinno być na skolko ja znaju miedycinu, Koziół-Poklewski, dwa ł.

str. 246. – Zjawiają się młodzi Krzysio z Anią „...przedstawiłam im profesora (Tatarkiewicza)’: Shocking! Wyłącznie i c h można było przedstawić p r o f e s o r o w i, nigdy odwrotnie.

Nieco niżej zabawne określenie, tyczące Słonimskiego. Czytam mianowicie, iż „wiele osób ceniło jego felietony’.. Ba! Człowiek, który wpłynął na obraz epoki intelektualnej, m.in. właśnie tymi arcyważkimi „Kronikami” w „Wiadomościach Literackich” – skwitowany tu uwagą. że „wiele osób ceniło’: To tak, jakby o Wańkowiczu powiedzieć, że: Byli tacy, którzy go czytawali z aprobatą. Albo o Tuwimie, iż niektórzy lubili jego wiersze... To wszystko filary kultury!

str. 258. – O ile mnie pamięć nie myli, kawiarnio-cukiernia w telewizji, to był „Kaprys prezesa” (wydał na to nieproporcjonalny majątek państwowy) a nie „Piekielko’: „Piekielkiem” zwano różne inne lokaliki, z reguły w suterrenach, i to poza gmachem przy Woronicza.

str. 398. Szofer nowojorski powiada: „Ja wiozę ludzi tylko po Manhattanie’: Nędzny język angielski nie posiada odmian czasowników częstotliwych: po naszymu rzekłby w tej sytuacji: „Ja wożę ...: Przecież „wiozę”, to tylko jeden raz.

str. 440. Podobne poślizgnięcie. Ichnie married znaczy zarówno „ożeniony”, jak „żonaty” „Mam zawsze zapewnioną randkę z piękną kobietą...” – i będzie to dobrym, dobrze podanym dowcipem.

Więcej (Twoich) grzechów nie pamiętam. Oby każdy literat miewał tylko dziewięć drobnych potknięć na 472 strony druku!

Oprócz nich winienem zaznaczyć, że jestem Ci nader wdzięczny, iż mnie – i to z życzliwością – wymieniasz & cytujesz. Rzadko mi się zdarza podobna satysfakcja, bo owszem, przytaczają nieraz, com opublikował lub rzekł, ale anonimowo lub zgoła jako własną wypowiedź przytaczającego... Pewien uczony historyk wręcz podał moją teorię a propos Matejki, jedyną w danym tonie i treści – ale ani się zająknął, że to nie jego. Miglanc KTT przypomniał po wielu latach pewną dyskusję prasową, gdzie starliśmy się ostro – i obwieścił, że głosił wtedy... – moje zdanie, acz je zwalczał gwałtownie. Dobrze, że nie napisał, iż ja głosiłem jego poglądy! W ogóle zresztą mnie nie wspomniał.

(...)

A tymczasem pozdrowienia serdeczne dla Ciebie i Twych Miłych Panów od obojga i niżej podpisanego:

Szymon



Szymon Kobyliński

Wilmington, Delaware, 26 maja 1995

Drogi i Kochany Szymonie!

(...)

Chcę Ci powiedzieć, że niezrealizowanie wizyty u Was bardzo nam popsuło przyjemność wspólnego pobytu w Polsce – bo mieliśmy plany takie wiosenno – turystyczno – przyjemnościowe na ten wspólny tydzień w Warszawie (jak wiesz, zanim Norman przyleciał, ja pracowicie jeździłam po Polsce ze spotkaniami

autorskimi w związku z książką).

No właśnie – książka. Twój list czytałam chciwie, zatrzymując samochód na zboczu (pocztę odebrałam po drodze gdzieś wyjeżdżając). Jesteś wspaniały i kochany przyjaciel, żeś napisał aż tyle na temat mojej książki..... Ja tak bardzo chciałabym o niej rozmawiać, słuchać itd. Tymczasem większość osób w czasie mojego pobytu jeszcze jej nie znała. A czy napiszą w liście o niej? ... Zobaczymy, nie wszyscy mają tak dobre „maniery”, a na pewno nie będzie im się chciało omawiać jej. Napiszą o swoich własnych różnych sprawach i swoich zajęciach.

Dziękuję za wyłapanie błędów i wykroczeń, kilka już sama spostrzegłam, ale większość jest nowych i tylko Twoje uważne oko i ucho je wyłapało. Masz wielką rację, np. z przedstawieniem profesorowi (a nie jego). Chodziło o Krzysztofa i Joannę Kąkolewskich (nie o brata Krzysia i Anię), ale i to ich się przedstawia wielkiemu profesorowi, a nie odwrotnie. Za to złapanie błędu jestem Ci szczególnie wdzięczna. W sprawie drzewa zatelefonowałam do Mamy: była to brzoza, a bazie były na innym. Ha, tak to się ma ze wspomnieniami! A w ogóle nie zrobiłam korekty autorskiej i jest to cena, którą płacę za odległość. Moja redaktorka grzecznie dopilnowała, by maszynopis był przepisany; nie zwracając uwagi na wiele ważnych, mniej lub bardziej i subtelniejszych wykroczeń. Osobiście naliczyłam już blisko 30 błędów, wszystkie mam

wydawcy posłać z końcem lata i miejmy nadzieję, że poprawi je w tzw. Dodruku (teraz ponoć się książki stale dodrukowuje, a nie robi kolejnego wydania). Martwię się o książkę, aby była czytana, i jak tylko masz ochotę i okazję – polecaj ją innym. Teraz to wielka sprawa książkę rozprowadzić, a reklama u nas nie jest prostą sprawą. Autorzy muszą pomóc wydawcom jak mogą.

Twoja uwaga o braku dyrektora, jest uwagą i wnioskiem na ten temat słusznym, bo moim założeniem było zrezygnowanie z tej postaci, jak z innych. We wstępie piszę, że jest to książka o wszystkim dobrym, za czym tęsknię. I że może należą do ludzi, którzy zapamiętują tylko dobre i szczęśliwe momenty swojego życia. Książkę zadedykowałam dzieciom w naszej najbliższej rodzinie, a więc założyłam, że będzie to książka rodzinna. („Mama i podróżniczka” – taki tytuł chciałam dać) i pozytywna. Wszystkie prywatności zostawiam na inną okazję, formę, inny czas, jeżeli ... itd.

Wyobraź sobie, że w książce (s.28) (i w jakimś wywiadzie, bodaj w „Expressie”) napisałam, że może kiedyś zamienię się w babsztyla i napiszę pełną żółci książkę zdradzającą sekrety swoje i innych, ale póki co nie umiem i nie czuję potrzeby... Otóż Krzysio K. Wypytywał mnie o bliższe znaczenie „tej pogroźki” (a ja pisałam z nadzieją, że to brzmi żartobliwie), nawet uściślając, że ja „nie znam jego sekretów, aby o nich kiedyś pisać”. Coś w tym stylu (wspominał nawet o adwokacie). Joanna przyszła na

promocję (Krzysztof był poza Warszawą) i publicznie uściślała jakieś moje zdania w kontekście z nimi. Mnie się wydawało, i dalej wydaje, że piszę o nich z ciepłem i serdecznie, ale oni tak tego nie odebrali...

Dlatego dziękuje Ci za dobre słowa (bo Ty jesteś Wielki człowiek i twórca), szczególnie za te żeś „wspomniany” (nikomu innemu by nie przyszło na myśl, by podziękować). Przecież ja jestem ogromnie dumna z naszej znajomości, którą Ty cudownie ośmielasz mnie nazywać przyjacią. Jesteś jedyną jak dotąd osobą, która to zrobiła, reszta przyjaciół z „mojego polskiego ogrodu” wczytuje się i zastanawia... Nawet ktoś zarzucił mi, że jest go mniej niż innych... itd.

Że jestem taka dobra osoba... Nie wiem, jak dalece to dobry komplement (bo kobiety zawsze i wciąż oczekują innych jakby komplementów). Kiedy czytałam „KRÓL LEAR NIE ŻYJE” Marii Bojarskiej, zazdrościłam autorce, że umie tak bez ogródek pisać. Wychowano mnie z pewnymi zasadami, które dość silnie tkwią we mnie, i mam rozwiniętą wyobraźnię na krzywdę ludzką. I wiem, jak papier może skrzywdzić ludzi. Lubię plotki i różne wieści, ale chyba nie wyszłabym z tym na zewnątrz. Mam wiele przykładów moich i obok mnie żałosnych i smutnych, bolesnych i trudnych spraw i historyjek, ale czy mam o tym w biograficznej książce w tzw. ... kwiecie wieku pisać?

Wiesz, trochę marzyło mi się, że Ty poprowadzisz to spotkanie w Klubie Księgarza (następne będę urządzać tylko zimą, abys był w Warszawie) i że ja zacznę od stwierdzenia, żeś Ty mnie sprowokował do tego typu otwartej i egocentrycznej książki. Bo to prawda.

(...)

Serdeczności od nas wszystkich,

Oleńka



A. Ziółkowska-Boehm: Ulica Żółwiego Strumienia, Dom Książki w Warszawie, W-wa 1995 r., wyd. I, Twój Styl, Maj 2004 r., wyd. II.

A. Ziółkowska-Boehm: Nie minęło nic prócz lat, wyd. Nowy Świat, Warszawa 2003 r.

Rzeźba, rysunek i grafika w Niepołomicach

KAROL BADYNA



Karol Badyna przy rzeźbie Czesława
Miłosza w Galerii Rzeźby,
fot. Wacław Klag

Karol Badyna ukończył z wyróżnieniem Akademię Sztuk Pięknych w Krakowie, w której dziś sam jest wykładowcą z tytułem profesorskim. Jego realizacje rzeźbiarskie wypełniają przestrzeń publiczną w różnych miejscach Polski oraz poza jej granicami: w siedzibie ONZ (pomnik Artura Rubinsteina), konsulacie polskim w Nowym Jorku, na uniwersytetach w Waszyngtonie i Tel Awiwie; w Singapurze (pomnik Fryderyka Chopina), w Niemczech i Estonii itd.

Znaczą część jego twórczości zajmuje sztuka sakralna; projekty wystrojów wnętrz kościołów i kaplic, rzeźby do Ogrodów Biblijnych w Proszowicach i Muszynie.

Jest autorem serii „Ławeczek Jana Karskiego” oraz makiet

obiektów na Drodze Królewskiej dla niewidomego turysty.



Krzysztof Kieślowski



Zbigniew Herbert



Jerzy Turowicz



Zosia



Niunia

Każdy z portretów Karola Badyny jest opowieścią pisaną językiem rzeźby. Modele to najczęściej ludzie, którzy przekroczyli połowę życia i osiągnęli wiedzę kim są, jacy są. Czas pozostawił na twarzach swój ślad obrysowany doświadczaniem życia. Ręce zatrzymane w ułamku gestu często dopełniają opowieść. Aby powstała – artysta musi to zobaczyć, a potem sprawić, żeby zobaczyli również ci, którzy przed rzeźbą staną. Tę umiejętność Karol Badyna posiada w stopniu – co najmniej – bardzo wysokim.

Jolanta Antecka

ANDRZEJ SOBAS

Andrzej Sobas w latach 80. poświęcił się działalności konserwatorskiej, przez pewien okres współpracował z Muzeum Narodowym w Krakowie. W kolejnych dekadach swoje kreacje artystyczne związał z reklamą i designem, realizując m. in. wnętrza wielu bieszczadzskich i podhalańskich hoteli i pensjonatów. Jest autorem wielkoformatowych zegarów słonecznych (UEK, Villa Vinci). Od kilku lat jego pasją twórczą jest rysunek. Bierze udział w wystawach indywidualnych i grupowych: Zamek Kmitów w Nowym Wiśniczu, PLSP w

Tarnowie, w Piwnicy pod Baranami w Krakowie.



Łeb w łeb



Dobre relacje



Spowiedź Hebdownska

Andrzej Sobas odbył długą drogę przez różne formy wypowiedzi; od reklamy po malarstwo monumentalne, aby zatrzymać się na dłużej przy rysunku i ten obecnie prezentuje. To rysunek bardzo precyzyjny. Z taką samą uwagą artysta traktuje wszystkie plany i wszystkie elementy składające się na kompozycję. Kreską, czasem delikatną plamą (zawsze wyraźnie obrysowaną), światłem i cieniem kreuje człekopty, które niekoniecznie mają skrzydła do latania, ale zawsze mocne dzioby wyrastające w miejsce nosów, antropomorficzne zwierzęta i nie do końca ludzcy

ludzie opowiadają nam baśń z pogranicza surrealizmu,
nieśpieszną, niestraszną, oswojoną, ale tylko trochę.

Jolanta Antecka

PAWEŁ ZABŁOCKI



Big Dapple state i Paweł Zabłocki w Open Studio w Toronto.

Paweł Zabłocki, absolwent Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie,

w latach 90. studiował semiotykę i historię sztuki na University of Toronto. Obecnie związany jest z Open Studio w Toronto, gdzie uczy akwaforty oraz realizuje swoje grafiki, których dominantą tematyczną jest hippika.

Jego proces tworzenia, jak wyznaje sam autor, jest inspirowany stanem percepcji, w której specyficzny język wkłęsłodruku, prezentując rozpoznawalną rzeczywistość, nie pozwala się wymazać z formuły przedstawiania, a w konsekwencji odkrywania i tworzenia znaczenia. Niemal emblematyczna formuła ikonograficzna poprzez zastosowanie technik często obnażonych do swoich części składowych, pozwala tworzyć dialog z rudymmentarnie rozumianym tematem czy wręcz tylko motywem.

Prace artysty udostępniają galerie: Grafiki i Plakatu, Katarzyny Napiórkowskiej i Art w Warszawie oraz Open Studio w Toronto.



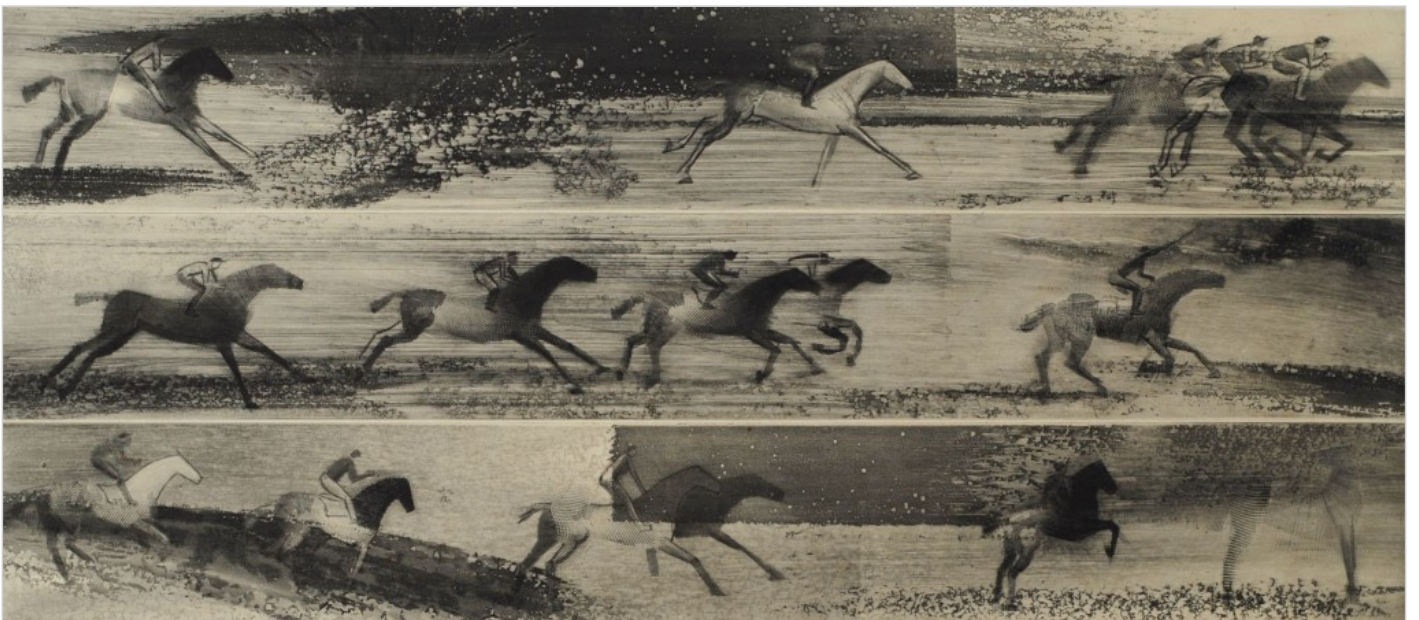
Lonely Dapple



Leaning



Big Dapple



Runs



Three sketches for new Runs

Paweł Zabłocki, który daleko, w kanadyjskim Toronto uprawia klasyczną, europejską (i krakowską) grafikę warsztatową, pozostaje wierny akwaforcie, technice sprawdzonej przez parę stuleci i wciąż niezawodnej. Tematem dominującym w grafice Zabłockiego jest koń; koń w ruchu, rozpędzony, pod jeźdźcem, innym razem – statyczny w rozwibrowanej przestrzeni. Wzajemnie relacje niekoniecznie tożsamyh bytów, różnych prędkości i klimatów, kolejno rozpoznawane zaczynają budować opowieść w istocie odległą od torów wyścigowych, daleko ogólniejszą i bardziej powszednią.

Jolanta Antecka